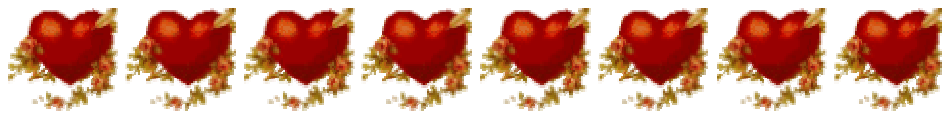




**LOIS GREIMAN**

---



*Powrót do Iowa*

## *PROLOG*

- Tu Cecil MacCormick. Kto mówi?! - wrzasnął do słuchawki.

- Tu Daniel. - Ucichł, czekając na rozpoznanie. Jednak miasteczko Oakes w stanie Iowa było najwyraźniej bardziej odcięte od świata, niż myślał. - Daniel MacCormick. Twój bratanek.

- Danny? To Danny? Chłopak Willy'ego? Oczywiście, bo niby ilu miał bratanków o imieniu Danny?

- Danny, mój chłopcze, od wieków nie dawałeś znaku życia. Akurat niedawno pomyślałem sobie: ciekawe, co też porabia mały Danny w... A gdzie ty właściwie mieszkasz?

Daniel zazgrzytał zębami. Cierpliwość nie należała do jego największych cnót Talent to zupełnie co innego - to był wrodzony dar. Ale w tej chwili nawet on był wątpliwy.

- W Nowym Jorku.

- Nowy Jork, tak? Pada tam u was?

Rzucił roztargnione spojrzenie w stronę okna. Kiedy Melissa wyprowadziła się dziewięć miesięcy temu, zabrała ze sobą zasłony. Z lekką irytacją zauważył, że bardziej tęskni za zasłonami niż za nią. Jego terapeuta - były terapeuta - kazałby mu poważnie zastanowić się nad tym odkryciem. Nie miał jednak ochoty zastanawiać się nad nim, gdyż wątpił, by świadczyło ono dobrze o jego charakterze.

- Nie. Nie pada.

- Szkoda. Tata mawiał, że wiosenny deszcz robi połam równie dobrze, jak świńskie odchody. Ale Willy uważał...

- Słuchaj, Cecil, muszę cię o coś spytać.

- Tak? - Stary najwyraźniej nie był zadowolony, że przerwano mu monolog.

- Czy stary dom nadal jest na sprzedaż?

- Dom Willy'ego w mieście?

Jasne, że jego dom w mieście. Innych przecież nie miał. Ten właśnie dom był kością niezgody między rodzicami Daniela przez czas trwania ich małżeństwa.

To okropne przeżycie dla chłopca - obudzić się pewnego pięknego poranka i odkryć, że matka odeszła, że jego świat zmienił się nieodwołalnie. To jakby dowiedzieć się, że świat nie jest okrągły, ale kanciasty jak kostka do gry.

Przez całe lata nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec nie sprzeda domu i nie przeniesie się na wieś. William MacCormick był farmerem z dziada pradziada. Teraz Daniel rozumiał, że William czekał na jej powrót. Ale on był mądrzejszy. Wiedział, że matka nigdy nie wróci.

- Tak, dom w mieście. Nadal jest na sprzedaż?

- Od dwóch lat. Od śmierci Willy'ego. Handel nieruchomościami wcale tu nie kwitnie, w każdym razie odkąd zamknęli tę starą fabrykę. Ceny ziarna są okropne, ciężko cokolwiek zarobić, choćby się duszę sprzedało diabłu. Dlatego pozwalam...

- Dobra. - Daniel bezceremonialnie przerwał mu w połowie kolejnego zdania. - Muszę iść, ale niedługo pogadamy.

Odłożył słuchawkę, zanim Cecil zdążył cokolwiek dodać, i siedział bez ruchu, przyglądając się jej ze zdumieniem. A więc to prawda. Z całą pewnością zwariował. Planów, które właśnie poczynił, nie dawało się wyjaśnić w żaden inny sposób.

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Zadzwieczał dzwonek u drzwi. Oskar jak zwykle groźnie warknął. Zawtórowały mu dwa żywiołowe piski. W saloniku-gabiniecie zadzwonił telefon.

Jesika Sorenson wstawiła butelkę dla niemowląt pod kran i szybko wytarła ręce.

- Proszę! - wrzasnęła, zakładając smoczek. Oskar znowu warknął.

- Chciałaś coś? - zapytał Komar, zaglądając przez drzwi garażu. Jego włosy - o mało interesującej barwie, za to zawsze ułożone w niepowtarzalną fryzurę - sterczały niczym kolce na grzbiecie jeżozwierza.

- Odbierz telefon! - wrzasnęła i pobiegła do drzwi.

Co za dzień! Oczywiście, pani Conrad musi wszystko utrudnić. Przez ostatnie pół roku wpadała bez zapowiedzi w każdy poniedziałek i środę. I akurat musiała wybrać tę właśnie chwilę.

- Odbiorę! - odwrzasnął Komar i, ku wielkiemu zaskoczeniu i bezgranicznej radości Jessie, zdołał w drodze do gabinetu potknąć się tylko raz.

Dzwonek odezwał się ponownie, a zaraz potem rozległo się niecierpliwe pukanie. Trzymając butelkę, Jessie nacisnęła klamkę i odkryła, że drzwi są zamknięte na klucz. I całe szczęście. Xena okazała się nie gorsza od Perełki w wydostawaniu się z zamkniętych pomieszczeń, a Jessie nie chciała, by wygłodniała menażeria znowu zaatakowała azalie Lomana.

- Przepraszam, pani Con... - zaczęła, ale urwała.

Wśród doniczek babci stał mężczyzna o wyglądzie nie budzącym zaufania. Jego czarne, zaczesane gładko do tyłu włosy odsłaniały wysokie, blade czoło. Miał też wydatne kości policzkowe i ciemny, dwudniowy zarost. Był szczupły i ubrany na czarno, a jego oczy przysłaniały ciemne okulary.

- W czym mogę pomóc? - zapytała, starannie wycierając resztki wody z powierzchni butelki.

- Co ty tu robisz? Myślałem, że dom jest na sprzedaż. - Zmarszczył brwi.

- Bo jest, ale...

- To co się tu, do cholery, dzieje?

Jesika wyprostowała się z pewnym trudem. Nie po to zarzynała się pracą przez ostatnie dziesięć lat, by teraz dać się zastraszyć takiemu typowi.

- Kim pan jest? - zapytała ostro. - Czego pan chce?

- Czego ja chcę? - Zerwał słoneczne okulary i spojrzał na nią groźnie. Jego oczy były czarne i patrzyły przeszywająco, ale białka przecinały czerwone żyłki. - Chcę wiedzieć, co, u diabła, robisz w moim domu, Sorenson.

- MacCormick?

Nazwisko to wymknęło się niepostrzeżenie z jej ust, ale była święcie przekonana, że się myli. Danny MacCormick nie zaszczylił Oakes swoją obecnością od ponad dziesięciu lat i sądząc po jego wypowiedziach na temat miasteczka, było mało prawdopodobne, by zrobił to w przyszłości.

- Danny MacCormick?

- Na litość boską, Sorenson! - zirytował się. - A za kogo mnie bierzesz?

- Nie wiem - przyznała i roześmiała się z ulgą.

Wcale nie przypominał Danny'ego, z którym spędziła dwanaście lat w jednej klasie. Zniknął gdzieś przygarbiony chłopak z krótko obciętymi włosami i okularami w rogowej oprawie.

Zastąpił go mężczyzna. Prawda, Danny zawsze był bystry i wygadany, miał opinię na każdy temat - od bezsensowności dobierania skarpetek pod kolor, do zgnilizny moralnej i degeneracji ludzkości. Jednak był w nim jakiś cień wrażliwości. A ten mężczyzna...

- Gdzie się podziała prowincjonalna gościnność? - zapytał, patrząc na wysadzaną wiązami uliczkę. - Zamierzasz mnie wpuścić, czy mam tu sterczeć jak głupek?

To pytanie przywołało ją do rzeczywistości.

- Wyglądasz okropnie - stwierdziła, nie widząc powodu, by okazać więcej uprzejmości niż on. - Po co przyjechałeś?

- Na pewno nie po twoją opinię na temat mojego wyglądu - zapewnił.

- Kim pan jest? - zapytał Komar, który nagle pojawił się za Jesiką. - Wszystko w porządku, Jess? - upewnił się z troską.

- Oczywiście. - Nigdy nie byli z Dannym przyjaciółmi. Raczej przeciwnikami. Ale też nigdy się go nie bała - W jak najlepszym. Komar, to jest...

- Stary przyjaciel Jessie - oznajmił stanowczo Danny.

- Jestem Nathan - powiedział Komar z ociąganiem. - Ale wszyscy mówią na mnie Komar. - W żaden sposób nie starał się ukryć nieufności, ale Jessie nie mogła mieć mu tego za złe. Zawsze umiał oceniać ludzi. - Chcesz, żebym został, Jess?

- Nie. Chcę, żebyś odebrał tę karmę, pamiętasz?

- Tak, ale... - Komar omiółł podejrzliwym spojrzeniem smukłą, ubraną na czarno postać MacCormicka. - Jesteś pewna?

- Sklep zamykają o szóstej - przypomniała mu.

- No dobrze.

Powoli precyzyjnie się obok MacCormicka i wyszedł. Rzucił mu ostatnie uważne spojrzenie, po czym wsiadł do starego buicka swojego ojca i odjechał.

- Twój syn? - zapytał MacCormick. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Kto?

- Moskit.

- Komar? Pewnie, że nie. Rany, MacCormick! Nic się nie zmieniłeś, zawsze byłeś dziwny. Gdzie się podziały twoje zdolności detektywistyczne? Zdawało mi się, że zostałeś genialnym reporterem czy czymś tam. Przecież mówił do mnie „Jess”.

MacCormick wzruszył ramionami, przypominając jej tym jednym prostym gestem, że odkąd go znała, zwracał się do swojego ojca per „Williamie”. Ale on zawsze był dziwny.

- Czyli masz tylko malucha?

- Co takiego?

Ruchem głowy wskazał butelkę, o której zapomniała.

- Tylko ty i maluch... Czy ojciec był nudny i nie można było tego wytrzymać?

Skrzywiła się. Cóż, może i straciła ikrę, ale nie zamierzała wymyślać inteligentnych docinków, kiedy czuła dotyk szorstkiej wełny na swojej nodze i słyszała głodne beczenie.

- Żadnego ojca - oznajmiła. Przykucnęła i wsunęła jagnięciu smoczek do pyszczka. - Tylko ja i maleństwo. Tatuś rzucił nas dla owcy.

Nie roześmiał się, ale zmrużył oczy i przecisnął się obok niej.

- Co ty wyrabiasz, Sorenson?

Otworzył drzwi, wszedł do środka i rozejrzał się. Łukowe okna obramowane przez winorośl, ogromne ilości ziół w doniczkach, egzotyczne rośliny i... Xena, stojąca na tylnych łapkach i wyglądająca przez okno. MacCormick milczał przez chwilę, jakby nie mógł się zdecydować, o co pytać najpierw.

- Co robi w moim salonie łasica?

- Ona nie... W twoim salonie? - powtórzyła z wymuszonym śmiechem. - To nie twój salon, MacCormick, tylko Cecilia.

- Nie na długo.

- O czym ty mówisz?

- On sprzedaje dom.

- Nie odważyłby się - oznajmiła, ale bez wielkiego przekonania. - Mamy umowę.

- Umowę? Na co zezwala? Że wolno ci zamienić dom moich rodziców w stajnię?

- Słuchaj, MacCormick, to nie ma nic wspólnego z tobą.

- To ma wiele wspólnego ze mną. - Przesunął wzrokiem po jej znoszonej flanelowej koszuli. Po jej obciętych i wystrzępionych džinsowych szortach. Po jej nogach, opalonych, ale podrapanych, oraz po jagnięciu, które żwawo wymachiwało ogonkiem. - Chcę, żebyś się wyniosła z mojego domu razem z całą tą śmierdzącą menażerią.

Rozległ się trzask zamykanych drzwi samochodu. Jesika zerwała się na nogi i wybiegła z butelką w ręku.

- Cecil. Nie sprzedajesz, prawda?

- Czego nie sprzedaję? - zdziwił się.

- Domu. - Ścisnęła mocniej butelkę i starała się uspokoić. - Nie sprzedajesz domu!

Wyczuła bliskość MacCormicka, zanim jeszcze usłyszała jego głos.

- Mówiłeś, że jest na sprzedaż. Cecil wpatrzył się w niego.

- Danny? Mały Danny. To ty? Chłopcze, wyglądasz, jakby przejechała po tobie ciężarówka. Co ci się stało?

- Znalazłem kupca na dom - oznajmił.

- Nie możesz go sprzedać, Cecil - wtrąciła Jessie. - Ja tylko...

- Oczywiście, że go sprzeda! - warknął MacCormick. - Wcale nie zmądrzałaś przez te lata.

- A ty nie...

- Zawraca ci głowę? Jessie aż podskoczyła.

- Babcia! - jęknęła, odwracając się.

Babcia była po osiemdziesiątce, ale miała dziwną zdolność bezszelestnego poruszania się. Fakt, że jedną rękę chowała za plecami, wcale nie zmniejszył lęku, jaki ogarnął Jessie. - Myślałam, że myjesz konie.



- Zobaczyłam, jak zajeżdża - oznajmiła babcia, wskazując na Cecila. -  
Oszukałby cię jak nic. Tak jak mnie.

- Nigdy cię nie oszukałem! - zaprzeczył Cecil, a jego twarz przybrała  
kolor dojrzałej rzodkiewki.

- Akurat! - prychnęła babcia.

- No właśnie, akurat! Nic ci nie zrobiłem. Klacz była moja!

- Właśnie, że moja i dobrze o tym wiesz!

- Sędzia powiedział co innego.

- A ja mówię tak i mam na to dowody! - oznajmiła babcia i wyciągnęła  
zza pleców strzelbę.

Daniel zaklął i odskoczył.

- Zabierz to, zanim sobie rozwalisz tę dumą głowę! - wrzasnął ochryple  
Cecil.

- To nie swoją głowę zamierzam rozwalić! - odwrzasnęła babcia, unosząc  
strzelbę.

- Babciu! - Jessie podbiła lufę strzelby w górę. - Nie możesz strzelać do  
Cecila!

- Założymy się?

- Pozwala nam mieszkać w swoim domu!

- Nie chcę mieszkać w jego piekielnym domu. Widywałam sita bardziej  
wodoszczelne niż ten dach.

Cecil zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Jak ci się nie podoba, to zaraz możesz...

- Nie! Dom jest cudowny. Naprawdę. Jesteśmy z niego ogromnie  
zadowolone. Prawda, babciu?

Mogła nie zadawać sobie trudu. Jej babcia prędeej nago przejechałaby  
przez miasto na koniu niż zgodziłaby się w czymkolwiek z Cecilem  
MacCormickiem.

- W każdym razie ja jestem wdzięczna - ciągnęła Jessie, zwracając się nerwowo do Cecila. - Naprawdę.

- Wiem o tym, kochanie - mruknął, a jego groźna mina złagodniała. - Ale...

- Ale to nie ma znaczenia - wtrącił Daniel MacCormick, wpatrując się przez chwilę w strzelbę. - Bo on sprzedaje dom.

- Naprawdę? - zadziwił się Cecil.

- Sprzedajesz? - wykrztusiła Jessie.

- Sprzedajesz, akurat! - rozzłościła się babcia, znowu celując w niego. - Powiedziałeś, że moja mała może tu mieszkać, dopóki nie będzie jej stać na własny dom i nie pozwolę ci znowu złamać danego słowa.

- Przecież nie mówiłem, że zamierzam. Odłóż to! - rzucił Cecil.

- A niby dlaczego?

- Bo jak mnie zastrzelisz, to cię zabrają do więzienia. A wtedy przyjdę i zabiorę te konie, z których jesteś taka dumna...

- Nigdzie nie przyjdiesz, bo będziesz wachać kwiatki od spodu, a ja...

- Zapłacę ci czynsz - wtrąciła przerażona Jessie.

- Nie musisz płacić żadnego czynszu! - prychnęła babcia.

- To ona nie płaci? - zapytał z niedowierzaniem Daniel.

Co tu się właściwie dzieje? Prawda, że nigdy tego domu nie chciał i bardzo chętnie przekazał prawa własności Cecilowi. Ale to było, zanim jego muza, ta niewierna ladacznica, porzuciła go i skazała na utonięcie w oceanie przeciętności.

- Przecież proponowałam, że zapłacę - oznajmiła Jesika obronnym tonem.

- Nie martw się o to - uspokajał ją Cecil.

- Wręcz przeciwnie, niech się zacznie o to martwić! - Bo... - Właściwie dlaczego? Przecież wcale nie zamierzał nikomu zdradzać swoich problemów. Zwłaszcza nie tutaj, w tej pipidówce, do której nigdy nie chciał wrócić. - Bo jutro przyjeżdża tu kupiec.

- Jutro?! - wykrzyknęli wszyscy troje chórem.
  - Właśnie - oznajmił Daniel w ciszy, która nagle zapanowała.
  - Lepiej przygotuj wszystkie papiery, Cecil. Dopilnuję, żeby je podpisano dziś wieczorem.
  - Dziś wieczorem! Nie ma mowy, Danny. Próbowałem ci wytłumaczyć przez telefon, że pozwalam tej dziewczynie...
  - Dom jest na sprzedaż, tak?
  - Tak, ale...
  - No, to go sprzedaj. - Był zmęczony i z trudem hamował rozdrażnienie. - Sorenson jest mądrzejsza, niż na to wygląda. Znajdzie sobie coś innego.
  - Gdzie?
  - Nic mnie to nie obchodzi. Po prostu wynoś się z mojego domu.
  - Twojego domu? - Cecil spojrzał na niego zezem.
  - To znaczy z twojego domu.
- Jesika wpatrywała się w niego tymi błękitnymi oczami, na widok których kiedyś zasychało mu w gardle i niemiłosiernie ścisnęło w żołądku.
- A kto taki, ni stąd ni zowąd, chce kupić ten dom? - zapytała.
  - To nie twój interes - poinformował ją Daniel. - Na twoim miejscu martwiłbym się raczej o...
  - Ale to na pewno mój interes! - Cecil patrzył groźnie na Daniela. - Nie życzę sobie w moim domu żadnych handlujących prochami komunistów.
  - Handlujących prochami komunistów? - Które stulecie tu właściwie obowiązuje?
  - I żadnych tych... dziwacznych facetów. Może to i uchodzi tam, gdzie mieszkasz, ale...
  - Nie będzie żadnych facetów, ani dziwacznych, ani innych - zapewnił go Daniel.
  - No, to kto to jest?

Daniel spojrział groźnie, z nadzieją, że to przyniesie skutek, gdy logika najwyraźniej zawiodła.

- O to się nie martw - wymigiwał się, usiłując zachować nonszalancki ton.

- Ręczę za nich.

- Za nich? - Cecil przekrzywił głowę i zmrużył oczy. Żyły na szyi, przedtem niebezpiecznie nabrzmiałe, znikły. - A ilu ich jest?

To pytanie całkowicie zaskoczyło Daniela.

- Troje - oznajmił na chybił trafił.

- Troje! Kobiety czy mężczyźni?

Zawahał się, gdyż kończyła mu się już inwencja. Trzeba było powiedzieć, że jedna.

- Kobiety.

- Trzy kobiety! - Cecil z groźnym marsem na czole wyglądał jak wyrzucona na piasek makrela. - A nie są zboczone ani...

- Jedna kobieta - poprawił pośpiesznie Daniel. - Jedna kobieta... i jej dwie córki.

- Małe dziewczynki? - Głos Cecila złagodniał. - Ile mają lat? I gdzie jest ich ojciec? Mam gdzieś to, co mówią młodzi radykałowie. Kobieta ciągle potrzebuje mężczyzny, żeby się nią opiekował, kiedy ona...

Daniel zaklął pod nosem.

- To ja!

Trzy pary brwi uniosły się w górę. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- Ty jesteś ojcem?

- Nie! - Daniel przeczesał palcami włosy i zgrzytnął zębami. - To ja kupuję ten dom.

## ***ROZDZIAŁ DRUGI***

- Wracasz do Oakes? - Jesika nawet nie próbowała ukryć niedowierzania.

- Jestem tym zachwycony podobnie jak ty - warknął.

- W takim razie, dlaczego...

- Nieważne, dlaczego! - oznajmił, pochylając się ku niej. - Po prostu tak jest. I chcę, żebyś wyniosła się z mojego domu razem z twoimi czworonożnymi przyjaciółmi.

- To nie jest twój dom - odezwał się cicho Cecil. - Przecież nie chciałeś go.

- Ale teraz chcę. Ile sobie życzysz za niego?

Cecil zmrużył oczy. Był łagodny jak jagnię, ale nie należało go denerwować. Babcia udawiała to przy każdym spotkaniu.

- Czteryście tysięcy.

- Czteryście...! - prychnął Daniel. - To szaleństwo. Żaden normalny człowiek nie zapłaciłby...

- Ja go kupię - wykrztusiła Jessie.

Wyraźnie usłyszała pełen nagany głos panny Fritz, nauczycielki ze szkoły podstawowej: „Nie bądź niemądra, moja mała. Ledwo cię stać na karmę dla ptaków”.

- Powiedziałem, żebyś się nie martwiła - uspokoił ją Cecil. Nie słyszał głosu, który od piętnastu lat ganił Jessie surowo, kiedy tylko zeszła choć odrobinę z prostej ścieżki. - Prawda jest taka, Danny, że dziewczyna potrzebuje domu na jakiś czas, więc...

- Ja potrzebuję go bardziej, do cholery!

- Po co?

- Nie twój interes, po co! Jest na sprzedaż, czy nie?

- Nie! - Stary uniósł podbródek. - Nie jest Daniel zmrużył ciemne oczy.

- Założę się, że jest jakieś prawo zabraniające trzymania tych wszystkich zwierzaków w domu. Chyba rozmówię się z urzędem miejskim.

- Domu i tak nie dostaniesz. Nie...

- A może strych? - odezwała się nagle babcia.

- Co takiego? - zapytali jednocześnie obaj mężczyźni.

- Mógłby mieszkać na strychu. - Babcia wzruszyła chudymi ramionami. - Bartlesowie ładnie go wykończyli, jak tu mieszkali.

Jessie wpatrywała się w nią w milczeniu. Wcale nie chciała, żeby ten mężczyzna mieszkał na jej strychu. Choćby przez chwilę.

- Dziękuję za ofertę - odparł Danny, a z jego tonu łatwo można było odgadnąć, co myśli o propozycji. - Ale gwarantuję, że nie zamierzam mieszkać na żadnym strychu, w żadnej dziurze w stanie Iowa.

- No, to możesz się zabierać z powrotem tam, skąd przyszedłeś - burknął Cecil.

- No dobra, wynajmę ten strych. - W gasnącym świetle spojrzał ponuro na Jesikę. - Ale obiecaj pilnować, żeby to się nie rozniosło.

- Co ma się nie roznieść? - wychrypiała Jessie, która jeszcze nie doszła do siebie po nieoczekiwanej dezercji babci.

- To! - Kopnął kępę mchu. - Wiadomość o mojej tu obecności.

- Jakby kogokolwiek obchodziło... - prychnął Cecil.

- Nikomu nie powiemy - obiecała babcia. - Jakby ktoś pytał, to jesteś po prostu naszym gościem. Nazwiemy cię... Elston Rolands. Zawsze lubiłam imię Elston.

Cecila zatkało. Daniela też. Żaden się nie odezwał. Jessie dawno przywykła do pomysłów babci, jednak dzięki temu sytuacja wcale nie stawała się łatwiejsza do zaakceptowania.

Mężczyźni ładnie wyglądali z daleka, ale nie miała zamiaru zbliżyć się do któregoś z nich. Już raz spróbowała.

- Jeśli przyjechałeś tu odpocząć... - Urwała, zauważając nie po raz pierwszy mizerny wygląd Danny'ego. - Możesz się rozczarować.

Przydałoby mu się parę dodatkowych kilogramów. Jego ramiona były szerokie, a ręce muskularne. Wyglądał jak niedożywiony James Bond. Nigdy nie lubiła Bonda.

- Chciałam powiedzieć, że Oakes nie jest takim spokojnym miasteczkiem, jakie pamiętasz.

MacCormick gapił się na nią w milczeniu, jakby badając, czy nie żartuje.

- Zaryzykuję - orzekł w końcu.

- Myśli, że jest Bóg wie co - prychnął pogardliwie Cecil.

- Danny, chłopcze, w naszym domu jesteś mile widziany - oznajmiła babcia, niedbale wskazując kierunek strzelbą.

Cecil prychnął i czerwieniał się niebezpiecznie, a Jessie usiłowała wrócić do równowagi. Nie straciła domu, a jeśli chodzi o MacCormicka... No cóż, długo tu nie zostanie. Tego była pewna. Jeżeli w czymś była dobra, to na pewno w odstraszeniu mężczyzn.

Babcia znów zachichotała i Jessie spojrzała na nią podejrzliwie. Edna Sorenson niezbyt lubiła towarzystwo. Może uznała, że skoro sama obecność Danny'ego irytuje jego wuja, to nie może być taki zły. Ale bardzo możliwe - uznała Jessie, zerkając na czarną sylwetkę MacCormicka - że babcia całkowicie się myliła.

- Trzeba ci pomóc z bagażami? - zapytała Edna.

- Nie. Niewiele mam ze sobą. - Daniel wskazał swój rozsypujący się samochód. - Najpierw muszę kupić kilka rzeczy, potem się rozpakuję.

- Wrócisz na kolację? - zapytała babcia.

Jessie nie mogła nie zauważyć rozradowania starszej pani i ponurej miny Cecila.

- Nie - odparł Danny. Potem, jakby dobre maniere przychodziły mu z pewną trudnością, dodał: - Dziękuję - i poszedł sobie.

- Nie martw się o pościel i takie tam! - krzyknęła za nim babcia. - Pościelę ci łóżko.

Cecil prychnął, babcia omal nie zachichotała, a Danny, którego zapas dobrych manier najwyraźniej już się wyczerpał, wsiadł do samochodu i pojechał.

Obudził się z ochrypłym jękiem. Gardło miał suche, głowa go bolała i, co było dziwne, miał mokre palce u nóg. Uchylił jedno oko i...

- Co!

Schował stopę pod koldrę w tej samej chwili, w której włochate stworzenie zerwało się na równe łapy i jak błyskawica wypadło przez drzwi, które na pewno zamknął poprzedniego wieczora.

Daniel odetchnął głęboko i położył głowę na poduszce. Przed chwilą śniło mu się, że jest w swoim nowojorskim mieszkaniu - pisze, odnosi sukcesy i ma cel w życiu. Przez jedną cudowną sekundę był szczęśliwy. Dopóki nie usłyszał szczekania.

Schował głowę pod poduszkę, ale to nic nie pomogło - słyszał, jak do całej kakofonii dołącza jagnię. A głośny trzask zamykanych ciężkich metalowych drzwi okazał się przysłowiową kroplą, która przepelniła czarę.

Odrzucił koce, zerwał się z łóżka, złapał papierosy ze stolika i zbiegł ze schodów. Skrzypiały, jakby się miały zapaść pod jego ciężarem. Jego włochata Nemezis przerwała wychlapywanie wody z sedesu w małej łazience i ruszyła za nim. Daniel rzucił jej zirytowane spojrzenie i udał się w stronę kuchni. Jednak przechodząc obok drzwi do pomieszczenia, które kiedyś było pokojem muzycznym jego matki, nagle zamarł. Zobaczył Jesikę Sorenson pochyloną, tyłem do niego.

Jej tyłeczek okryty wytartymi dżinsami był pięknie zaokrąglony, a nogi ciągnęły się w nieskończoność, by wreszcie ukryć się w znoszonych roboczych butach.



Dopiero po kilku chwilach zdał sobie sprawę z tego, że niegrzecznie się gapi, a po paru kolejnych dotarło do niego, że ona wcale tam nie pozuje, by ucieszyć jego oczy. Usiłowała wepchnąć psią miskę do klatki z nierdzewnej stali i jednocześnie nakarmić butelką jagnię zamknięte w klatce poniżej.

- O, obudziłeś się - lekko się uśmiechnęła.

Jakby w tej arce Noego dało się pospać dłużej, pomyślał. Ale to mu wcale nie przeszkodziło w zauważeniu jej wielkich lazurowych oczu.

- Nie myślałam, że jesteś rannym ptaszkiem. - Jej spojrzenie ześlizgnęło się z jego twarzy na czarną, wygniecioną koszulkę. - Mam nadzieję, że dobrze spałeś - powiedziała podejrzenie słodkim głosem.

Daniel skrzywił się ze złości i uznał, że jej oczy wcale nie są lazurowe. Są niebieskie. Po prostu niebieskie. W dodatku mają dość pospolity odcień.

- Wyglądasz na trochę... - Wzruszyła ramionami. Jagnię cmokało, pies zajadał. - Zmęczonego.

Ciekawe, co zamierzała powiedzieć. Ale przecież to go nie obchodziło.

- Zmęczonego? - Przeczesał włosy palcami i zerknął na stworzenie, które przyszło za nim. Popatrzyło na niego wielkimi oczami. Co to właściwie jest? - A dlaczego miałbym być zmęczony? Było już chyba wpół do szóstej, kiedy ten... szczur piżmowy?... zaczął obgryzać mi stopę.

- Szczury piżmowe mają łuskowate ogony - oznajmiła, wyciągając jagnięciu smoczek z pyszczka. - A Xena nie ma.

- Xena?

- Kiedy Ted ją znalazł, była całkiem maleńka. Omal nie umarła z głodu. Chcieliśmy, żeby poczuła się... - Zniżyła głos, jakby bała się obrazić zwierzątko.

- Wspaniale.

Było wpół do szóstej rano. Daniel miał za sobą może cztery godziny snu, a teraz słuchał gadaniny wariatki.

- Ich liczba maleje gwałtownie. - Przeszła do kuchni. Otumaniony poszedł za nią. - Zanika środowisko naturalne i tak dalej. Pastor Tony ma o tym film -

oznajmiła, otwierając lodówkę i wyjmując z niej jakąś torebkę. Okazało się, że zawartość torebki śmierdzi jak zgniły tuńczyk i wygląda równie apetycznie.

Daniel wykrzywił się do zwierzaka. Zastanawiał się, co to jest, ale nie miał ochoty pytać. Jego były terapeuta najprawdopodobniej doradziłby mu zgłębić przyczynę takiego postępowania.

- Czy one nie powinny spać aż do Dnia Świstaka?

- Świstaki są dużo grubsze. Chociaż ona chyba też przybiera na wadze. Mam nadzieję, że jest w ciąży. Ale może to tylko od jedzenia. Tyle ryb, których nie musi sama łapać. Ale w końcu ciągle biega po tych schodach i...

- Posłuchaj! - warknął, przerywając tę idiotyczną rozmowę i zmuszając się do zapomnienia o tym, że ona ma nogi... no, idealne...

Nie, nie idealne. Nie była w jego typie. Lubił kobiety smukłe, wyniosłe. Melissa była zawodową modelką - dokładnie w jego typie. Rzuciła go kilka miesięcy temu, a on jakoś za nią nie tęsknił, ale to wcale nie znaczyło, że do siebie nie pasowali.

- Słuchaj, Sorenson - powiedział już ciszej. - Nie przejechałem paru tysięcy kilometrów, żeby mieszkać w cholernym zoo. Więc albo zamkniesz te...

Gdzieś na ulicy wybuchła bomba. Podskoczył. Snajperzy! Buntownicy! Bojownicy o wolność...

- Rany, MacCormick, ale jesteś nerwowy. Powinieneś więcej sypiać - stwierdziła Jesika, chowając torbę z rybą do lodówki i zerkając przez kuchenne okno. - No, nie.

Daniel zamknął oczy i przypomniał sobie, że nie jest w Iranie, Irlandii Północnej czy Afganistanie. Był w Iowa. A konkretnie w Oakes. Niewiele było bezpieczniejszych miejsc... to znaczy nudniejszych, poprawił się.

- No nie co? - zapytał, kiedy uznał, że chyba przeżyje ten wstrząs.

- Bill już tu jest.

Bill. Po prostu Bill. A kimkolwiek Bill był, nie należał chyba do ludzi, którzy mają zwyczaj chodzić ze strzelbą i wystarczającą ilością środków wybuchowych, by wysadzić w powietrze stan Iowa.

- A Jeremy'ego ciągle nie ma - dodała.

- Leniwy drań - orzekł Daniel.

- Może ty mógłbyś... - zaczęła, po czym urwała i przyjrzała mu się, jakby był kawałkiem szynki na sprzedaż. Po jej minie widać było, że nie przeszedł próby. Pewnie był za suchy. - Mniejsza z tym. - Odstawiła butelkę i poszła umyć ręce.

- Może mógłbym co?

- Miałam poprosić, żebyś mi pomógł rozładować siano. - Znow zamilkła.

- Przepraszam. Zapomniałam.

- O czym zapomniałaś?

- No, że... nie możesz mi pomóc.

No pewnie, że nie. Nie przyjechał do tej zabitej dechami dziury, by wykonywać fizyczne roboty. Przyjechał tu, by napisać bestseller i uciec z powrotem do Nowego Jorku. Ale...

- Dlaczego? - spytał.

- No... - Odchrząknęła i zrobiła nieokreślony gest w jego stronę. - No wiesz.

W tej właśnie chwili rozległ się dzwonek i uciekła, najwyraźniej % wielką ulgą. Daniel spojrzał z roztargnieniem na swoją pierś i ramiona. No dobra, może i był trochę blady. I owszem, nie zaszkodziłoby mu kilka kilogramów więcej, ale przecież nie wyglądał, jakby stał jedną nogą w grobie.

- Dzień dobry - usłyszał po chwili, jak kogoś wita.

- Dzień dobry, Jess.

- Dzięki, że tak szybko je przywiozłeś.

- Nie ma sprawy. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc w rozładunku.

- Naprawdę?

- Nie - odparł Bill i roześmiał się.

Dołączyła do niego. Jej śmiech był melodyjny i irytująco szczery. Daniel zazgrzytał zębami.

Obok niego przeszedł kot wielkości stanu Wyoming. Co lub kogo ten kot musiał zjeść, żeby osiągnąć takie rozmiary?

- No dobra, czas na mnie - powiedział Bill. - Jak skończysz, postaw ciężarówkę gdziekolwiek, zabiorę przy okazji.

Jesika wróciła do kuchni i aż podskoczyła.

- O! Ciągłe tu jesteś?

- A myślałaś, że gdzie będę? - Uniósł brwi.

Skrzywiła się i znowu nerwowo wykonała gest w kierunku jego piersi.

- Lepiej wróć do łóżka, zanim... - Urwała.

- Zanim co?

- No, bo... jeśli coś się stanie... upadniesz albo coś... nie stać mnie na proces.

- Upadnę? - Daniela zamurowało.

- Nie chcę, żebyś zemdlał albo coś.

- Zemdlał! - Jakby był jakimś chuchrem... A jej oczy zdecydowanie nie były ani lazurowe, ani w najmniejszym stopniu fascynujące. - Sorenson, o czym ty, do cholery, mówisz?

Z udawanym współczuciem spojrzała na niego przez przymknięte powieki. Jej rzęsy były gęste i złociste, długie jak u afgańskiego wielbłąda. Na szczęście pachniała dużo ładniej niż wielbłąd, a kiedy się uśmiechała...

- Od dawna tak jest? - zapytała.

Czasami jego groźne spojrzenie mogło powstrzymać kilku facetów z karabinami. Na nieszczęście obawiał się, że Jesika Sorenson nie jest tak nieśmiała, jak przeciętny partyzant z Trzeciego Świata.

- Przepraszam. To nie moja sprawa. - Sięgnęła do klamki.

- Od jak dawna jest jak? - zapytał, wwiercając się groźnym spojrzeniem w jej plecy.

- Nic. Przepraszam. - Wyszła, a on za nią. - Pewnie nie chcesz o tym mówić. Twoje zdrowie to twoja prywatna sprawa - oznajmiła, po czym pośpiesznie zbiegła po schodach i wyszła na dwór.

Daniel zacisnął zęby. Zdecydowanie była wielbłądem - jak on irytująca, uparta i nieatrakcyjna. Nagle zauważył, że podwórko za domem wcale nie było podwórkiem, tylko jakimś zakątkiem naturalnego środowiska, pełnego polnych kwiatów i koniczyny. Pszczoły brzęczały w pobliżu różowych kwiatów, a ptaki ćwierkały i pożywiały się w kilku karmnikach. Daniel z trudem powrócił do wcześniejszej rozmowy.

- Co ty sobie myślisz? Że przyjechałem tu umrzeć, czy jak?

- Nie... - Spojrzała z ukosa. - Oczywiście, że nie.

- O to chodzi, prawda? Sądzisz, że dowlokłem się do Iowa, by zwinąć się w kłębek i paść trupem.

- Ja tylko...

Dotarła do bramy w ogrodzeniu i przez chwilę tarmosiła łańcuch, jakby sprawdzając, czy dobrze trzyma. Potem skrzyła i ruszyła energicznie wzdłuż nierównych pali. Dwa ogromne siwe konie szły za nią po drugiej stronie ogrodzenia, usiłując dotknąć jej nosami.

- Mam tylko jedno pytanie i uważam, że... No, biorąc pod uwagę warunki mieszkaniowe, mam chyba prawo wiedzieć. Czy to HIV?

Nie odpowiedział, po prostu patrzył na nią.

- No bo... - ciągnęła pośpiesznie. - Nie, żebym miała cokolwiek przeciw tobie, ale przy twoim trybie życia... Nie zrozum mnie źle. Nie mam uprzedzeń. To jest osobisty wybór każdego... No...

- Znowu przyjrzała się uważnie jego piersi, jakby nie widziała tam żadnych cech determinujących płęć. - Każdej osoby.

- Wyjaśnij mi to, Sorenson. - Daniel starannie wazył słowa.

- Uważasz mnie za geja?

- Nie ma się czego wstydzic - zapewniła go pośpiesznie. - W innych okolicznościach powiedziałabym, że to wyłącznie twoja sprawa, MacCormick. Ale... No, najwyraźniej nie jesteś... - Jej wzrok znowu prześlizgnął się po jego ciele, jakby miał na sobie różową spódniczkę, baletki i całą resztę. - Nie powinieneś się wstydzic tego, czym jesteś. W końcu...

- Sorenson. - Podszedł do niej bardzo blisko. - Masz rację. Jest to wyłącznie moja sprawa i nic mnie nie obchodzi, co myślisz, ale tak dla wyjaśnienia... - Spojrzał na nią groźnie. - Nie jestem gejem. Nigdy w życiu nie miałem nic poważniejszego niż katar i nie przyjechałem tu umrzeć.

Jej idiotycznie różowe wargi rozchyliły się. A jej szafirowe oczy... Nie, nie szafirowe.

- No, to dlaczego... - zaczęła, ale urwała. - Nic. - Odchrząknęła nerwowo. - Nie chciałam cię denerwować.

- Owszem, chciałaś.

- Nie. - Wyglądała na zaskoczoną i oburzoną podejrzeniem, że jej głównym celem jest odesłanie go do Nowego Jorku. - Nie chciałam stawiać ci zbyt dużych wymagań.

- Rozładuję to siano - warknął.

- Ale nie możesz...

- Czego nie mogę? - zapytał groźnie.

- No, skoro jesteś pewien - stwierdziła z wahaniem.

Znowu miał ochotę zakląć, ale pewnie nic by to nie dało. Odwrócił się tyłem, złość dodawała mu siły. Szarpnięciem otworzył przesuwane drzwi i wszedł do stalowego budynku.

- O, dzień dobry. - Stała tam babcia Jessie, trzymając lśniące wiadro pełne pianistego mleka. - Dobrze spałeś?

- W porządku - odparł, rozglądając się. Wąskie wnętrze podzielono na cztery boksy. Dwa były puste, trzeci zajmowały dwie kozy, a czwarty trójka ich rogatych dzieci.

- Jeśli szukasz krów, to żadnych nie mamy. Kozie mleko - dodała, unosząc wiadro. - Kiedyś zrobię ci na nim naleśniki. Powinieneś jeść też kielki. Ale teraz muszę nakarmić konie. Jess, nie zapomnij mu powiedzieć o zdolnościach Perełki - oznajmiła i wyszła tym swoim energicznym krokiem.

- Zdolności? - zdziwił się.

- Perełka jest mistrzynią ucieczek. Trzeba zakładać łańcuch na bramę.

- Aha. A kielki?

- Długa historia.

- Mam czas.

Wzruszyła ramionami i otworzyła drzwi na całą szerokość.

- Parę lat temu u babci wykryto toczeń. Lekarze... - Urwała, by odchrząknąć. Nie patrzyła na niego. - Nie mogli nic dla niej zrobić. No to poszliśmy do specja od medycyny naturalnej.

Czyżby dlatego tu była? Nadal w Oakes, stan Iowa.

- No i...

Szła z powrotem do ciężarówki. Obserwował jej biodra. Nie były wąskie, lecz zaokrąglone i jędrne, dzięki czemu jej talia wydawała się bardzo cienka, a ramiona zdolne do uniesienia każdego ciężaru. Jednym słowem, nie była delikatną kobietką. Nie licząc szyi. Wydawała się nieprawdopodobnie długa pod tym kołyszącym się kucykiem.

- Od tego czasu dużo się nauczyliśmy o leczniczych ziołach. Stąd ten salon pełen roślin, wydedukował.

- Dlatego babcia przeniosła się do miasta? Przez ten toczeń?

- Straciliśmy farmę, kiedy babcia zachorowała, więc Cecil powiedział, że możemy tu mieszkać.

- I zbudował stodołę?

- Mhm. Powiedział, że musi mieć gdzie czasami przechować konia czy dwa - powiedziała, wspinając się na skrzynię ciężarówki.

Co za stek bzdur, pomyślał Daniel. Cecil miał mnóstwo ziemi, na której mógł sobie trzymać konie. Najmniej jest mu potrzebna ta marna działka nad rzeką.

- Dlaczego nie może ich trzymać na swojej farmie?

- Nie wiem. Babcia była wtedy w kiepskim stanie. Wolałam się nad tym nie zastanawiać. Miałyśmy szczęście, że w ogóle mamy gdzie mieszkać. A jeszcze do tego mieć miejsce na konie... to już był istny cud. - Spojrzała na ogromne siwe perszerony. - Twój wujek jest cudowny.

- Cecil? - upewnił się Daniel i popatrzył na nią badawczo.

- Nie wszyscy MacCormickowie są wredni. Prychnął i kiwnął głową w stronę stodoły.

- Rzucić te razem z innymi?

- To okropnie ciężka praca. Nie... Uciszył ją wzrokiem. Odchrząknęła.

- No dobrze. Ale lepiej nałóż chociaż rękawiczki, bo...

- Dajże mi spokój, Sorenson! - oznajmił, ściągając pierwszą belę siana z ciężarówki.

Zaniósł ją do środka.

Jessie patrzyła, jak rzuca belę koło poprzednich. Dlaczego wrócił? Co właściwie zamierzał tu osiągnąć i kiedy chciał wyjechać? A wszystko szło tak dobrze. Było tak, jak lubiła, bez żadnych kapryśnych facetów, którzy by ją rozpraszaali. Dlaczego więc MacCormick musiał się pokazać akurat teraz? Chociaż wcale jej nie rozpraszał. I chociaż bardzo chciała wierzyć w coś przeciwnego, lub przynajmniej wmówić mu, że wierzy, nie był wcale słaby. Prawda, że był za szczupły, ale każdy gram jego ciała to były mięśnie i kości. Nie kłamał, zapewniając, że umie rozładować siano. Dokładnie tak, jak należało to robić. Poruszał się dość nonszalancko albo po prostu usiłował jej zaimponować.



Omali nie roześmiała się na głos. Danny MacCormick nie był facetem, który usiłowałby zaimponować komukolwiek, a już zwłaszcza komuś takiemu, jak ona. Na pewno nie była w jego typie. Trzaskała głośno drzwiczkami klutek cały ranek właśnie po to, by zniechęcić go do pozostania.

Jakąś godzinę później skończyli robotę i razem poszli w stronę domu. Zapanował między nimi przyjacielski nastrój. Ale ona nie życzyła sobie teraz żadnych przyjaciół, w każdym razie nie dwunożnych.

- Tęskniłeś za tym, co? - zapytała, zerkając na niego.

- Za czym?

Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, czy usiłuje go tylko zirytować, czy naprawdę chce usłyszeć jego odpowiedź.

- Za Iowa.

- Wiesz, twój obłęd mógłby być uleczalny - prychnął.

- Zabawne. Czyli nie przyjechałeś tu umrzeć, nie tęskniłeś za tym, no, to po co przyjechałeś?

Milczał przez chwilę, po czym położył rękę na sercu, jakby recytował jakąś głęboką prawdę.

- Nic nie robi tak dobrze na duszę, jak powrót do korzeni. Teraz ona prychnęła.

- Chyba to ty masz nie po kolei w głowie, MacCormick.

- Jak ci się nie podobają odpowiedzi, to nie zadawaj pytań - oznajmił, otwierając drzwi.

Zauważyła po pierwsze, że miał zwyczaj otwierać drzwi przed kobietami. Po drugie, skrzywił się.

- Co się stało?

- Nic - odparł i wprowadził ją do przedpokoju.

- To twoje ręce, prawda? Pokaż. Rzucił jej złowrogie spojrzenie.

- Pilnuj własnego nosa - odparował.

Ale ona i tak chwyciła go za nadgarstek, odwróciła dłoń i zbadala uważnie. Zobaczyła trzy pęknięte pęcherze. Sięgnęła po jego drugą rękę. Wyglądała gorzej od pierwszej.

- Powiedz, MacCormick, zawsze byłeś taki uparty?

- A ty zawsze byłaś taka... - zaczął i urwał. Spojrzeli sobie w oczy. Zapanowała cisza.

- Jaka? - spytała dużo łagodniej, niż zamierzała. Z ponurym grymasem popatrzył na swoją dłoń.

- Zawsze tak się lubiłaś rządzić?

Co zamierzał powiedzieć z początku? Niby jej to nie obchodziło, ale jego spojrzenie było takie skupione, tak hipnotyzujące.

Miał dłonie duże i silne. Znowu sobie uświadomiła, że nie był drobnym mężczyzną. Ale czasami miał wygląd zagubionego szczeniaka, a ona zawsze miała słabość do... Co też jej przychodzi do głowy? Czyżby nie wyciągnęła żadnej nauki z tej historii z Brianem? On też czasami wyglądał na zagubionego i może właśnie to ją w nim pociągało. A może chodziło o jego majątek i urodę albo o to, że umiał sprawić, by czuła się jak księżniczka.

„Brian był kompletnym padalcem” - oznajmiła panna Fritz.

- Podoba ci się? - zapytał MacCormick.

Jesika wypuściła jego rękę jakby była z rozgrzanego żelaza.

- Uważaj, żeby się nie wdała jakaś infekcja - powiedziała i podeszła do najbliższej szafki. Wyciągnęła tubkę maści. - Masz. Umyj ręce i posmaruj tym. Przyniosę opatrunek.

- Nic mi nie będzie.

- Umyj ręce - powtórzyła stanowczo. Patrzył na nią w milczeniu.

- No już. Umył ręce.

- Wysusz starannie - poleciła, oglądając się przez ramię. - A potem posmaruj maścią.

- Zawsze tak się rządysz, Sorenson? Chyba już wiem, dlaczego nie wyszłaś za mąż.

Troszeczkę ścisnęło się jej serce, ale nie dała tego po sobie poznać.

- W wolnych chwilach bawisz się w swata, MacCormick?

- Wolę określenie „konsultant małżeński” - odparował. Popatrzyła na niego. Na moment dała się oszukać.

- Ciężkie czasy. - Wzruszył ramionami. - Zawsze dobrze jest mieć jakiś biznes na boku.

Szybko nakładała opatrunek. Jego skóra była ciepła. Nie patrzyła mu w oczy, ale i tak czuła jego wzrok na swojej twarzy.

- A co z tobą? Masz żonę?

Wcale nie chciała wiedzieć, ale on sam zaczął. Poza tym miała prawo wiedzieć. W końcu mieszkał w jej domu. No, tak jakby w jej domu.

- Czyli już nie chcesz wiedzieć o mnie i Francois? - zapytał. W jego głosie pojawił się dziwny, jakby kobiecy ton.

Spojrzała na niego przelotnie i dostrzegła iskierki śmiechu w ciemnych oczach. Wzruszyła ramionami, usiłując zrobić obojętną minę.

- Pewnie, że chcę. Opowiedz mi o Francois.

- Ma taką uroczą willę w Wenecji, z posążkami przystojnych greckich bogów i...

- Och, proszę! - Zabrała się za drugą rękę. - Musiałam się dowiedzieć, czy nie... zarazasz czymś. Nie, żebym... to znaczy wcale nie zamierzam...

Obserwował ją z lekko uniesionymi brwiami.

- Czego nie zamierzasz? Zasznurowała usta i poplątała opatrunek.

- Dobrze wiesz, czego.

- Nie zamierzasz mnie uwodzić? To chciałaś powiedzieć?

Starła się zachowywać równie nonszalancko, jak on, ale ciepło jego dłoni docierało do jej serca.

- No właśnie.

- Skoro nie interesuje cię uwodzenie, to co robisz dla rozrywki?
  - Nie powiedziałam, że mnie... to... nie interesuje. - Co za kretyńska rozmowa - Tylko tyle, że nie interesujesz mnie ty.
  - Ach, tak. No, to kogo uwodzisz? Billa?
  - Żona Billa chyba nie byłaby zadowolona - odparła, nie patrząc na niego.
  - A już jego pięcioro dzieci na pewno nie.
  - Pięcioro. Imponujące - stwierdził ironicznie.
  - Bardzo dobra ilość jak na miot Trochę gorsza na rodzinę. Przeludnienie i tak dalej.
  - Jesteś pewna? Mógłbym sobie wyobrazić cię ze stadkiem dzieciaków.
- Podskoczyła na dźwięk dzwonka u drzwi.
- No, to... uważaj przez kilka dni na te ręce - powiedziała i poszła otworzyć drzwi, wdzięczna losowi.
- Na ganku czekał Jeremy Bitz, przestępując z nogi na nogę i patrząc przepraszająco.
- Przepraszam, że tak późno - usprawiedliwiał się, wykonując głową ruch w stronę pustej ciężarówki.
  - Akurat - uśmiechnęła się. Była dziwnie oszołomiona, ale usiłowała się pozbierać. - Już to gdzieś słyszałam.
  - Wiesz, że to prawda - powiedział. - Powinienem trenować przed sezonem futbolowym. W tym roku kiepsko stoję finansowo. Muszę dźwigać albo siano, albo ciężary, a za siano mi płacą. A zresztą... - uśmiechnął się. - Tata dostałby szału, gdyby usłyszał, że cię zawiodłem.
  - Nie martw się, Jeremy. Poradziliśmy sobie.
  - Nie musiałaś robić tego sama?
  - Nie... przyjaciel mi pomógł.
  - No, to przepraszam jeszcze raz.
  - Nie ma sprawy.

- Zadzwonisz następnym razem? - zapytał Jeremy.

- Możesz na to liczyć.

Zamknęła za nim drzwi. Coś tu jednak było nie tak. Coś... Dym!

Rzuciła się do kuchni, spodziewając się złapać babcię z jej zakazanymi camelami. Stał tam jednak tylko Daniel, oparty o brzeg stołu i z papierosem w palcach.

- Nie! - wrzasnęła i rzuciła się w jego kierunku, by wyrwać mu tego papierosa.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Daniel patrzył na nią w milczącym zdumieniu, przekonany, że jego twarz nie wyraża żadnych uczuć. Pokerowa twarz nieraz przydała mu się w pracy dziennikarskiej. Nie miał jednak pojęcia, czy wywrze jakikolwiek efekt na niej. Jak by nie było, wyrwała mu papierosa z ust niczym tygrysica, a jeszcze kilka chwil temu pieściła jego dłoń tymi swoimi miękkimi jak u kotki łapkami. Przerażające. Dobrze, że nie był miłośnikiem kotów.

- Założę się - powiedział tonem wypranym z wszelkich emocji - że nie jesteś zwolenniczką palenia papierosów.

- To z powodu... - Spojrzała na smukłe brązowe zwierzątko, które właśnie weszło przez klapkę dla kota. - Xeny.

- Nie mogę palić przez tę... norkę? - zapytał, spoglądając na zwierzaka.

- Norki są ciemniejsze - odparła, gasząc papierosa w zlewie.

- Aha. A Xena jest...

- Uczulona.

- Co takiego?

Jessie z zapalem grzebała w lodówce. Jej poza była podobna do tej, w jakiej zobaczył ją rano i przez jedną szaloną sekundę miał ochotę pogładzić

kształty opięte wytartymi dzinsami. Oczywiście, odezwał się w nim stary, męski instynkt, nic więcej. Nagle poczuł znajome napięcie w dole brzucha. Skrzywił się i oderwał wzrok od jej pupy. Nie była w jego typie. Nigdy nie pociągały go wariatki.

- Skąd wiesz, że Xena ma alergię?

- Trze oczy, kicha. Normalne objawy - odparła Jessie, kładąc kapustę na drewnianej desce do krojenia.

- Ach, tak.

Daniel nie mógł nie zauważyć, że nie ma jeszcze ósmej rano, a ona kroi warzywa. Właśnie dodała do rosnącej kupki marchewkę. Całkiem nagle dotarło do niego, że największym problemem mieszkańców Oakes musiał być chów wsobny. Właściwie to nic dziwnego. Powinien był wcześniej to zrozumieć. W tak małej społeczności musiało się to prędzej czy później ujawnić.

A efektem była Jesika Sorenson.

- Chcesz śniadanie? - zapytała.

- Z zasady nie jadam gotowanej kapusty przed obiadem.

- A surową? - zapytała, nadziewając kawałek na koniec rzeźnickiego noża olbrzymich rozmiarów.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Właśnie tak jego bohaterka morduje kochanka! Rzeźnickim nożem. Gotuje mu specjalną kolację, może nucać sobie pod nosem, bo nareszcie znalazła kogoś, komu może zaufać, kogo może pokochać. Ale facet się nie pojawia. A kiedy wreszcie przychodzi, czuje na nim zapach perfum innej kobiety i w napadzie szału...

Chwileczkę. Nie, to zbyt banalne.

- Co z tym śniadaniem? - Jej ton sugerował, że już raz zadała to pytanie, a nie lubi się powtarzać. - Skoro jesteś na antykapuścianej diecie, to może coś bardziej konwencjonalnego? To znaczy nie uważam, że jestem ci coś winna... ale na dworze pada.

Logika tej wypowiedzi jakoś mu umknęła. Albo był to kolejny przykład tych problemów z chowem wsobnym.

- I co?

- Siano by zamokło. A wcale nie prosiłam cię o pomoc. Ale... czy chcesz coś na śniadanie?

- Czy twoja babcia wie, że bawisz się nożami? - zapytał.

- Nawet mnie do tego zachęca. Chcesz to śniadanie, czy nie?

Ten nóż go hipnotyzował. Może i nadałby się na narzędzie zbrodni, gdyby trochę skomplikować wątek...

- MacCormick!

- Nie - odpowiedział. - Dziękuję.

- A zatem światowej sławy dziennikarz nie potrzebuje pożywienia, w odróżnieniu od nas, zwykłych śmiertelników.

- Nie. - Przypomniał sobie, że zawsze miała ostry język. Te krągłości i szyja baletnicy trochę odwróciły jego uwagę. - Kilka łyków krwi z samego rana i starcza mi na cały dzień.

Z wystudiowaną nonszalancją sięgnął po papierosy. Ale kiedy zerknął, odkrył, że kieszonka na piersi jest pusta. Skrzywił się, podniósł wzrok i cofnął się gwałtownie.

- Co to jest, u diabła? - wychrypiał, wpatrując się w plastikową torebkę trzymaną w palcach przez Jesikę.

- Krew - odparła, kopnięciem zamykając lodówkę. - Zawsze trzymam trochę w zapasie dla przyjezdnych dziennikarzy.

- Nie, dziękuję. - Z trudem zdobył się na nonszalancką odpowiedź. Szczerze mówiąc, nigdy nie przepadał za widokiem krwi, nawet w torebkach.

- Nie ta grupa? - Schowała torebkę z powrotem do lodówki. Odetchnął z ulgą.

- Nie przypominam sobie, by normalna kobieta trzymała krew w lodówce. To jakaś nowa moda?

Zgarnęła wszystkie warzywa, wrzuciła do stojącego obok miksera i włączyła go.

- Anemia - wyjaśniła, przekrzykując hałas.

- Co?

- Basset Eda Petersona potrzebuje transfuzji.

Wpatrywał się w nią przez chwilę. Nie doczekał się jednak dalszych wyjaśnień.

- I? - zapytał w końcu.

- Jestem weterynarzem.

- Żartujesz.

- A myślałeś, że z jakiego powodu mam klatki w pokoju muzycznym?

- Założyłem, że jesteś stuknięta. Chyba oczywiste.

Uniosła brew, wyciągnęła z wiekowej kuchenki patelnię i postawiła na palniku. Po chwili już skwierczały na niej jajka, a ona wróciła do swoich warzyw. Wrzuciła siekaninę z miksera do miski, pobiegła do lodówki i wróciła z małym pudełkiem.

- Jogurt? - zapytała.

Pokręcił głową. Wylała jogurt na warzywa.

- Dalmatyńczyk - wyjaśniła. - Ma chorobę skóry. Jak je psie żarcie, dostaje wysypki. - Wrzuciła trochę papki także do drugiej miski i unosząc brwi, pokazała zawartość obu naczyń. - Na pewno się nie skusisz?

- Może później.

Wzruszyła ramionami i wyszła do sąsiedniego pokoju. Po chwili wróciła i dorzuciła na patelnię cztery plasterki bekonu.

- To dla pieska preriowego? - spytał, spoglądając na tajemnicze zwierzątko, które wyglądało przez klapkę w drzwiach do ogrodu.

- Pieska preriowego? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Kończą mi się pomysły. - Wzruszył ramionami.



- Pieski preriowe są dużo jaśniejsze. - Zwierzątko stało teraz na tylnych łapkach przy szafce. - Znowu jesteś głodna? - zapytała.

Sięgnęła po torebkę psiego żarcia i wyjęła kilka grudek, które zwierzątko starannie obwąchało. Wzięło je w pazurki przednich łapek i opadło z powrotem na cztery nogi.

- Na pewno nie chcesz trochę?

- Psiego żarcia?

- Jajeczniczy na bekonie.

- To ona jest dla ludzi?

- Oczywiście. Nie karmiłabym pacjentów czymś takim. Za dużo tłuszczu.

- Ach, tak. - Nie chciał, by myślała, że jest jej coś winien. Ale ten bekon pachniał naprawdę smakowicie. - Może troszeczkę.

- Dobra. Weź sobie jakiś talerz i siadaj.

Znalazł talerze dokładnie w tym samym miejscu, gdzie trzymała je jego matka. Ożyły wspomnienia. Zamarł, mając przed oczami dawne poranki - prawdziwe śniadania, ciepłe ciasteczka, ramiona obejmujące go wieczorem, gdy...

- I daj mi też jakiś talerz, dobrze?

Wziął więc jeszcze jeden z półki i zatrzasnął drzwi szafki wspomnieniom przed nosem.

- Wolisz sok pomarańczowy czy mleko?

- Nieważne.

- A może herbatę? Mam z rumianku albo z mleczy.

- Nie. Dziękuję.

Usiadł. Poczł się tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał z domu. Jakby nie nauczył się sam dbać o siebie. Jakby tutaj spędził każdy dzień swojego życia. Ale to złudzenie. To już nie było jego miejsce. I on nie był już nieokrzesanym prowincjuszem. Był intelektualistą. Człowiekiem sukcesu. Nagradzanym pisarzem, którego interesowała tylko następna powieść.

- Gdzie mieszkałeś przez ostatnie dziesięć lat?

- Głównie w Nowym Jorku.

Tak, zwiedzał obce kraje, przeprowadzał wywiady z dygnitarzami, ale to tutaj czuł się swojsko. Wydawało mu się, że zaraz poczuje zapach perfum matki. W tym zapomnianym przez Boga i ludzi miasteczku, gdzie zaniedbane kobiety śmierdziały szarym mydłem i amoniakiem, ona codziennie używała perfum Chanel.

- MacCormick?

- W pobliżu Central Parku!

Jej oczy płonęły i pojął, że nie zauważył zmiany tematu.

Odchrząknął, czując się niezręcznie i głupio. Jakby nigdy nie minęło zauroczenie wygadana dziewczyną, która teraz siedziała przed nim.

- Co mówiłaś?

- Przykro mi z powodu twojej matki.

Jakby go ktoś walnął w żołądek. Skąd wiedziała, o czym myślał? A jeśli mogła go przejrzeć tak łatwo, to dlaczego...

- Była taka ładna - ciągnęła Jessie. - I miła. Pamiętam, że jak mama była chora...

- Chętnie pogadałbym o starych czasach, ale muszę wziąć się do roboty. - Gwałtownym ruchem odsunął się od stołu.

Przez jedną bolesną chwilę zastanawiał się, czy aby jej nie zranił. Ale nie obchodziło go to. Nie mógł sobie pozwolić na sentymenty.

- Do roboty? - zapytała cicho.

Powój! Jej oczy miały dokładnie taki sam kolor, jak kwiaty ukochanego powoju jego matki.

- Muszę się rozpakować - wyjaśnił, zmuszając się do powrotu na ziemię.

Odwrócił się i ruszył na górę.

Do południa Daniel zdążył rozpakować swój samochód. Do pierwszej zainstalował komputer, a do czwartej napisał trzy genialne strony.

Uszczęśliwiony i wyczerpany padł w ubraniu na łóżko. Obudził się po siódmej, sięgnął po papierosy i przypomniał sobie o idiotycznych zasadach panujących w tym domu.

Podszedł do komputera, włączył go i przeczytał nowe strony. Były dobre. Jego muza wróciła. Ale do dziewiątej wieczorem wróciła też frustracja. Napisał dalsze pięć stron i wykasował sześć.

Mając wszystkiego dość, zszedł na dół.

- Jeśli będziemy dawkować bardzo ostrożnie, myślę, że ma spore szanse - mówiła właśnie Jessie.

- I sama będę musiała robić zastrzyki? - odezwał się stary, piskliwy głosik.

- E, to nic - wtrąciła się babcia. - Nasza Jess to geniusz, Betty. Pokaże ci, jak to się robi.

Daniel nie zatrzymał się, by słuchać dalej. Musiał się stąd wydostać, potrzebował samotności i... papierosa.

Dwie godziny później, nasyciwszy się tym wszystkim, padł na łóżko. Ale sen był niespokojny. Koło czwartej rano usiadł na materacu. Oczy go piekły i był cały obolały. Dowlókł się do komputera i usiłował przywołać swoją muzę.

Tak długo i starannie układana fabuła rozkwitała powoli w jego głowie. Alysha Linden była młodą, inteligentną kobietą, ładną i bardzo zmęczoną. Niepowodzenie było jej pisane. Urodziła się w Newark, a jej matka była panną. Wszystko miała przeciwko sobie - miejsce, nieodpowiedni przyjaciele, złe wybory...

Wprawił się w odpowiedni nastrój, usadowił na składanym krzeselku i zabrał się do pisania.

Świt zjawiał się równie powoli, jak jego myśli.

Bezpośrednio pod swoim pokojem usłyszał otwierające się drzwi. Potem obserwował Jesikę wychodzącą na podwórze, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. Z trudem utrzymywała na smyczy żółtego labradora, który miał uszy

spięte w górze jakąś zapinką. Mimo tej dziwacznej fryzury pies wymachiwał ogonem i tańczył radośnie, ciągnąc ją na usianą kwiatami trawę. Jej włosy, związane w kołyszący się kucyk, miały prawie ten sam złocisty odcień, co sierść labradora.

Alysha! Interesowała go wyłącznie Alysha. Daniel oderwał wzrok od złocistej dwójki na dworze. Przyjechał tu napisać powieść. Nic więcej. Przyjechał tu, by opisać szczegółowo daremną walkę Alyshy Linden z przeznaczeniem.

Przerwał rozmyślenia i nadal obserwował Jesikę.

Znowu miała na sobie obcięte džinsy, wystrzępione na brzegach, odsłaniające cudowne, jędrne uda. Wsunęta za pasek prosta bawełniana koszulka bez rękawów, także dość znoszona, sprawiała, że wyglądała jak dziewczyna z okładki jakiegoś wiejskiego katalogu. Ale kiedy odwróciła się i słońce oświetliło jej mokre od rosy stopy, zobaczył, że paznokcie u nóg ma pomalowane na jaskrawy, fioletowoniebieski kolor i każdy z nich jest dodatkowo przyozdobiony maleńką złotą ozdóbką.

Skrzywił się. Kontrasty. Zawsze, kiedy myślał, że już ją rozgryzł, niechcący odkrywał jakąś kolejną sprzeczność. Wytarte džinsy, a na paznokciach u nóg złote ozdóbki w kształcie... Pochylił się naprzód. Ona akurat spojrzała w stronę domu. Daniel cofnął się gwałtownie. Krzesło zaskrzypiało pod jego ciężarem.

Skup się! Alysha! Alysha - zawsze szukająca szczęścia tylko po to, by życie oszukało ją jeszcze raz. Alysha, która...

Labrador szczekał jak wściekły. Daniel wyjrzał i zobaczył, że pies biega w kółko i podskakuje radośnie.

- Gotowy? Gotowy? - Głos Jesiki dotarł do niego przez uchylone okno. - To łap.

Rzuciła talerz *frisbee*. Pies rzucił się za nim w radosnej pogoni. Przyniósł go w parę sekund.

Słońce akurat wyjrzało zza chmur i promienie odbiły się od jej włosów. Kiedy odwróciła się, dostrzegł jej uśmiech, ten łobuzerski uśmiech i dołeczki w policzkach, które nie dawały mu spać po nocach, gdy był chłopcem.

Nagle wydało mu się, że wcale się nie zmieniła przez ostatnie trzynaście lat. On stawał się coraz bardziej zmęczony i zgorzkniały, a ona pozostała taka, jaka była...

Popatrzył ze złością na mrugający kursor, przesunął go na górę pierwszej strony i wpisał tam wymyślony właśnie tytuł. „Łzy”. Bardzo dobry tytuł i bardzo dobrze dopasowany.

Alysha uroni wiele łez. Tak - będą walki i nadzieje, ale na końcu zawsze pozostaną tylko łzy.

Pies zaszczekał gwałtownie. Daniel podniósł wzrok. Pojawiła się babcia Jesiki, wystrojona jak zwykle w nieco za duże dzinsy mocno ściągnięte w talii. Miała też starą i niemodną kowbojską koszulę z długimi rękawami.

Nie chodziło o to, że Jesika była jakaś niezwykła, Tylko że... Pewnie były to objawy głodu nikotynowego. Już dawno dowiedziono naukowo, że nikotyna zmniejsza napięcie seksualne. Po odstawieniu narkotyku jego libido uaktywniło się. To wszystko.

Odezwała się do labradora. No właśnie, każ mu się zamknąć, pomyślał. Ale kiedy pochyliła się, by pogłaskać psa, koszula rozchyliła się i ukazała na moment miękkie półkule piersi, podtrzymywane kolorowym, atlasowym stanikiem, idealnie dopasowanym odcieniem do paznokci u nóg. Danielowi zabrakło tchu. Pochylił się naprzód, dokładnie w tej samej chwili, w której Jesika spojrzała w jego okno.

Cofnął się gwałtownie poza zasięg jej wzroku. Krzesło jęknęło w proteście. Jak on ma, u licha, pracować, kiedy ona wygląda tak... Kiedy jej śmiech... Kiedy nie ma przyzwoitego krzesła?

Właśnie w tym tkwił problem. Nie mógł pracować, bo rozpraszało go to przeklęte krzesło!

## ***ROZDZIAŁ CZWARTY***

W Oakes nie było sklepów z meblami. Najbliższy znajdował się pięćdziesiąt minut jazdy samochodem, a gdy Daniel tam dotarł, wybranie porządnego fotela do pracy zajęło mu sporo czasu. Po wykonaniu tego niezwykle trudnego zadania doszedł do wniosku, że musi mieć także lepsze biurko niż to, przy którym dotąd pra... usiłował pracować.

Obserwował, jak sprzedawcy próbują wcisnąć jego zakupy do bagażnika samochodu. Scena ta byłaby zabawna, gdyby Daniel był w nastroju do żartów. Teraz potrafił jedynie zakląć i umieścić obolałe ciało za kierownicą, tęskniąc za swoim mercedesem.

Poczuł tęsknotę za papierosem, ale kiedy sprawdził kieszonkę na piersi, znowu odkrył, że jest pusta.

Zatrzymał się przy sklepie wielobranżowym. Ponieważ nie chciał używać karty kredytowej, by nie wyjawić prawdziwej tożsamości, zmuszony był zapłacić gotówką, a tej zabrakło po zakupach w sklepie meblowym.

Znalezienie bankomatu w Oakes było równie proste, jak wycieczka na Księżyc. W końcu jednak zdołał nabyć paczkę papierosów. Pierwsze zaciągnięcie się wprawiło go w euforię, a drugie było jeszcze lepsze. Kiedy jechał ulicą Wiązową, czuł się prawie odprężony.

Wszystko jest w najlepszym porządku, zapewnił sam siebie. Wystarczy, że zamknie się tu na kilka tygodni i napisze swoją powieść. Przed nim najlepszy okres w życiu. Żadnego odwlekania, żadnych opóźnień, nic go nie będzie rozpraszać...

W myślach mignął mu obraz kształtnej pupy Jesiki, ale zdyscyplinowany umysł odrzucił go natychmiast. W pogoni za artykułem umiał zignorować wszystko. Z pewnością uda mu się to z jedną dziewczyną z włosami spiętymi w kucyk i jej hałaśliwą menażerią.

- Na rany Chrystusa! - Babcia Sorenson zajrzała przez uchylone drzwi i z otwartymi ustami wpatrywała się w stos kawałków i części biurka, rozłożonych na wytartym dywanie. - Co za nieludzki bałagan! Może ci pomóc?

Daniel stłumił przekleństwo i zateśknił za papierosami. Były tak blisko, oddzielała go od nich tylko jedna konfiskująca papierosy wariatka. Choroba umysłowa była najprawdopodobniej dziedziczna, spojrzał więc z podejrzliwą niechęcią na staruszkę.

- Nie, dziękuję - oznajmił. - Świetnie mi idzie.

- Jesteś pewien? Masz strasznie dużo tych kawałków.

No właśnie, pomyślał z irytacją, obracając w dłoniach zaokrąglony fragment, który mógł być równie dobrze uchwytem szuflady, jak i kawałkiem czaszki jakiejś pozaziemskiej istoty.

- Od dawna to robisz?

Daniel spojrzał na nią uważnie. Z trudem się ruszał od przerzucania siana i mocowania się z biurkiem, a do tego od trzech godzin i dwudziestu siedmiu minut nie miał w ustach papierosa.

- Czy określenie „od początku świata” coś mówi? Starsza pani wybuchnęła ochrypłym śmiechem.

- No, chodź. Kolacja gotowa. Sama ugotowałam.

- Nie chcę...

- Chcesz urazić biedną, starą i słabą staruszkę? - zapytała, rzucając mu przewlekłe spojrzenie.

No dobra, niech będzie, że jest stara. Ale słaba? Była chuda jak patyk i znacznie twardsza, dałby za to głowę.

- No, chodź na dół - rozkazała.

Chociaż przez chwilę rozważał odmowę, odkrył, że opuszcza stos mebli w kawałkach z pewną radością.

- Babciu, możesz mi podać mleko? - zapytała pochylona nad kuchnią Jesika.

Daniel zerknął na schody i odkrył, że starsza pani nie zeszła za nim na dół, więc sam podszedł do lodówki.

- Proszę - odezwał się, trącając Jesikę pudełkiem w łokieć.

- Och... Babciu, twój głos jest jakiś... wyższy.

- Musiałaś mieć bardzo dobry dzień, Sorenson. Wprost tryskasz uprzejmością.

- Ciężki poród u jednej z owiec Olsena. Ale w końcu udało nam się urodzić bliźniaczki. Czują się dobrze. Mam nadzieję, że Maks nie przeszkadzał ci dziś rano.

- A co, był u ciebie jakiś kochaś? - Daniel oparł się biodrem o blat.

- Chodzi mi o psa. Miałam nadzieję, że cię nie obudził.

- Akurat. Wcale nie miałaś.

- To nieładnie sądzić, że wszyscy mają taki wredny charakter, jak ty.

- A dlaczego?

Patrzył, jak pochyła się nad stołem. Szorty zostały zastąpione džinsami. Ale nie stanowiło to wielkiej różnicy. Już widział jej nogi.

- Bo to nie fair wobec reszty świata.

- Wy dwoje chyba się nie kłóćcie, co? - odezwała się babcia ze schodów.

- Nie - odpowiedziała Jessie.

- To dobrze - stwierdziła z ulgą starsza pani. - Bo Cecil strasznie się wścieka, że tu mieszkasz, a ja zamierzam się tym cieszyć tak długo, jak się da.

Daniel usiadł na krześle i patrzył, jak babcia sadowi się naprzeciw. Na chwilę zapanowała cisza.

- Ukradł moją Dzidzię - oznajmiła w końcu.

- Słucham? - Daniel zauważył, że policzki babci są wilgotne od prawdziwych łez.

- Po prostu mi ją ukradł - wymamrotała.

Jesika nałożyła na talerz dużą porcję tłuczonych kartofli.



- Cecil i babcia wojują ze sobą od urodzenia Dzidzi, czyli od pięciu lat - wyjaśniła.

Kartofle były pyszne i zawierały dużo więcej kalorii, niż Melissa byłaby w stanie zliczyć, a co dopiero zjeść przy tej swojej diecie modelki.

- Ale nigdy mu nie ufałam - oznajmiła babcia. - Od początku wiedziałam, że to diabelskie nasienie.

- No, babciu - uspokajała ją Jessie. - Dobrze wiesz, że przed wojną miałaś do niego słabość.

- Ukradł moją Dzidzię! - Nie dawała za wygraną. Jesika zerknęła na Daniela.

- Dzidzia pochodziła od Pana Pata i Francuzki.

Daniel kiwnął głową, jakby miał pojęcie, o czym była mowa.

- Twój wujek miał Pana Pata, a babcia Francuzkę. Mieli je skojarzyć dwa razy. Pierwszy żrebak miał być dla Cecila, a drugi dla babci. Ale Francuzka dostała przepukliny podczas drugiej ciąży. Nigdy nie było drugiego żrebaka.

- Ten pierwszy powinien być mój - oznajmiła babcia. - To był mój pomysł. I dawałam mu bardzo dobrą cenę za Dzidzię. I co, zgodził się?

Najwyraźniej nie, pomyślał Daniel, próbując groszku. Od jak dawna nie jadł warzyw? Ledwo sobie przypominał, że je kiedyś jadał. Uzależnił się od barów szybkiej obsługi.

- Nie, nie zgodził się - podsumowała babcia.

Daniel sam się tego domyślił. Jednak nie wydawało mu się to wystarczającym powodem, by walczyć przez pięć lat

- Niech to wszystko diabli! - rozzłościła się babcia. - Wstrętny staruch znowu obrzydził mi jedzenie.

- Dokąd idziesz? - Jesika podniosła wzrok.

- Wyczyścić broń.

Zapanowała cisza, przerywana tylko krokami starszej pani.

- Powiniennem zamknąć drzwi na klucz? - zapytał Daniel.

- Ależ skąd - odparła Jesika, wykrzywiając się do niego. Otworzyły się drzwi.

- Uhuu! Już jestem! - Do kuchni zajrzała twarz tak pyzata i pogodna, że natychmiast przypomniała mu się postać z kreskówki Disneya. Ta wróżka ze „Śpiącej Królowej”.

Skonsternowana Jesika odwróciła się w stronę drzwi.

- Pani Conrad. Czyżby aerobik był dzisiaj wcześniej?

Reszta osoby starszej pani idealnie pasowała do jej głowy. Była tak samo okrągłutka.

- Nie, nie. Ale Różia czuła się samotnie.

- Czuje się już lepiej?

- Och, tak. Pepto-Bismol uczynił cuda. Chodź, Róziu. Chodź i powiedz doktor Jess, jak się czujesz - powiedziała i pociągnęła za smycz, której koniec zniknął za rogiem.

Do kuchni weszła świnka. Wbrew oczekiwaniom Daniela nie szła na dwóch nogach ani nie miała na głowie kapelusza. Była to po prostu świnka - pulchna i... różowa.

- Czyż nie wygląda pięknie? - zachwyciła się pani Conrad.

- Zdecydowanie - zgodziła się Jesika, po czym zwróciła się do Daniela. - Bardzo ładnie. Prawda, że wygląda ładnie?

Rzucił jej ironiczne spojrzenie, zastanowił się, czy nie powiedzieć jej, że świnie lubi wyłącznie z jajecznicą, zrezygnował jednak z tego i stwierdził:

- Przepysznie.

- Och, masz towarzystwo - powiedziała właścicielka świnki.

- Tak. Pani Conrad, to jest... - Jesika zamilkła na ułamek sekundy i uśmiechnęła się, jakby coś ją ogromnie rozbawiło. - Elston Rolands.

- Elston. Niezwykle imię. I tworzycie taką uroczą parę.

Daniel natychmiast przeniósł wzrok z Jesiki na starszą panią, ale odkrył, że jego brwi wyżej już unieść się nie mogą.

- Ależ skąd - zaśmiała się. - Nie chodzimy ze sobą - oznajmiła i zaśmiała się znowu, odrobinę histerycznie.

Aż takie śmieszne to znowu nie jest, pomyślał.

- Och, jaka szkoda - zaszczębiotała pani Conrad. - No cóż, na mnie już czas. Zaopiekujesz się moją Rózią?

- Oczywiście - zapewniła Jessie, biorąc smycz Rózi.

- Oddział psychiatryczny musi być ostatnio pusty - powiedział Daniel, gdy zostali sami.

- Pani Conrad jest bardzo miła - zaprzeczyła Jessie. - To coś w rodzaju jednoosobowego towarzystwa humanitarnego.

- Bierze do siebie zwierzęta i znajduje im nowe domy?

- No... - Zawahała się. Rózia ze smakiem zjadła parę groszków, które spadły ze stołu. - Bierze zwierzęta do siebie. Większe problemy ma ze znajdowaniem dla nich innych domów.

- Twoi ukochani oakesianie nie otworzyli drzwi na oścież przed nieszczęśliwymi braćmi i siostrami Rózi?

- Nie o to chodzi. Po prostu ona nie jest w stanie rozstać się z nimi. Nie licząc Oskara - dodała. - Elmer Lampstead znalazł go na swoim polu i zaniósł do pani Conrad. Ale nie mogła sobie z nim poradzić. Ciągle straszył jej myszy. I właśnie dlatego teraz mieszka tutaj.

- Przypomnij mi, żebyś koniecznie jej podziękował - mruknął, patrząc groźnie na kota, który zaczął właśnie drapać jego dzinsy. - Co on robi?

- Urocze - rozczulila się, kiedy ogromna kula futra objęła łapami nogę Daniela - Chyba cię lubi. Ale zaczekaj. Mówiłeś zdaje się, że nie jesteś gejem, tak?

Daniel zaklął i cofnął nogę. Jednak zwierzak wbił pazury tylnych łap w materiał i zaczął leniwie żuć kolano Daniela. Chciał wstać, ale Jesika pochyliła się ze śmiechem.

- Oskar! - zganiła kota, delikatnie klepiąc go po głowie. - Przestraszyłeś pana Rolandsa.

Skarcony Oskar zeskoczył z nogi Daniela i uciekł.

- Przestraszyłeś? - Daniel patrzył na Jessie z rosnącą irytacją. - Opowiadałem ci kiedyś o mojej pracy w Irlandii?

- Chyba nie - roześmiała się. - Byłeś bardzo odważny, co?

- Wręcz bohatersko.

- Jak miło.

- Wiedziałem, że ci zaimponuję. Masz może kawę?

- Kawa jest bardzo szkodliwa.

- Przed chwilą zjadłaś tłuszczu za cały pułk wojska, a martwisz się kawą?

- Babcia i ja zrezygnowałyśmy z kofeiny dawno temu.

- Ach tak. I nie chcesz wystawiać się na pokusę?

- Żadna pokusa. Zrobię ci kawy, jeśli chcesz.

- Nie. Ale rano zdawało mi się, że czuję zapach kawy. Halucynacji o papierosach bym się spodziewał, ale o kawie...

- To pewnie... - zaczęła, ale wtedy drzwi otworzyły się gwałtownie i wkroczyły przez nie na chwiejnych nogach trzy worki z paszą.

- Dziee aam to szucić?

- Chyba ktoś do ciebie, Sorenson - powiedział Daniel.

- He? - zapytały worki.

- W psiarni. Myślałam, że dzisiaj pracujesz u Caseya - Jesika zwróciła się najwyraźniej do worków.

- Aaśnie skończyłem.

- Mogłeś zaczekać do rana.

- Eea fprawy - mruknęły worki i wyszły.

Jednak zanim zdążyły zniknąć im z oczu, zaczęły niebezpiecznie przechylać się na bok. Nogi potknęły się, worki przechyliły... Rozległ się stłumiony jęk.

Daniel zerwał się na równe nogi, niestety wrócił już Oskar. Potknął się o kota.

Jesika z szybkością błyskawicy przemknęła przez kuchnię, by chwycić padające worki karmy. W końcu udało się szczęśliwie złożyć worki wśród klatek,

- Dzięki - mruknął Komar. - Chciałem mieć pewność, że będziesz miała ziarno na jutro.

- Za ciężko pracujesz, Komar - powiedziała Jessie.

- Rano chyba widziałem dwa drozdy.

Zdaniem Daniela ich wypowiedzi nie miały ze sobą absolutnie nic wspólnego, ale oni jednak najwyraźniej się rozumieli.

- Naprawdę?

- Tak. Dzięki tobie wracają. I kacyki też.

- To dlatego, że ty przywozisz ziarno.

Komar uśmiechnął się nieśmiało, demonstrując krzywe przednie zęby i niewątpliwe zauroczenie. Przystąpił z jednej przerośniętej stopy na drugą.

- No tak. Lepiej wezmę się do roboty. Najpierw oczyszczę klatki i tak dalej, a potem zajmę się trochę...

- Możesz to zrobić jutro - zaproponowała.

- Z samego rana pomagam Pete'owi przyskać fasolę.

- Tylko praca i żadnej zabawy. Nie urośniesz.

- Tata mówi, że najwyższy czas. Jestem już od niego wyższy pięć centymetrów.

- A co u niego?

- Dostał pracę w Fairfield, ale tylko czasową.

- No cóż, może przyjmą go na stałe, kiedy się rozniesie, że jest ojcem przyszłego chirurga światowej sławy.

- Taa - orzekł bez przekonania, ale w końcu się uśmiechnął i chyba trochę odprężył.

- Wiesz co - zaproponowała Jessie, biorąc do ręki stojące przy drzwiach wiadro. - Idź do domu. Sama to zrobię.

- Nie. - Komar odłożył kubek i spojrzał na Jesikę wzrokiem przerośniętego basseta. - Chcę to zrobić. Naprawdę.

A później pospaceruje dla niej po powierzchni wody, pomyślał Daniel, ale jakoś nie mógł się zdobyć na właściwą sobie zgryźliwość. To pewnie przez to domowe jedzenie. Niszczy w człowieku instynkt zabójcy.

- No, to nie będę ci przeszkadzać. - Jessie ze smyczą w dłoni skierowała się z powrotem do kuchni i niemal podskoczyła na widok Daniela. - Och!

Wykrzywił się. Rózia prychnęła. A niby dokąd mógłby pójść o tej porze?

- Pomóc ci z naczyniami?

- Nie. Nie. Lepiej trochę odpocznij.

Znowu to robiła. Zachowywała się, jakby miał zaraz paść niczym podcięta lilia. Denerwujące. Nie mówiąc już o tym, że raniło to jego męską dumę. Automatycznie sięgnął po papierosy. Po chwili zauważył jej wzrok.

- Może... zapalę na dworze.

- Wolałabym... żebyś tego nie robił. - Skrzywiła się. - Chodzi o... Komara - wyjaśniła, robiąc głową ruch w stronę psiarni. - Jest młody.

- Nie zamierzałem na siłę wciskać mu papierosa do ust.

- Ale i tak stanowisz wzór.

- Nie sądzę, by był do mnie szczególnie przywiązany. Zdawało mi się, że raz na mnie spojrzał. Ale myliłem się. Cały czas gapił się na ciebie - stwierdził Daniel.

Jesika nadal wpatrywała się w papierosy z dezaprobatą. Westchnął i schował je.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Lubię objawy odwykowe.

Kącik jej warg uniósł się w uśmiechu i Daniel wstrzymał oddech.

- W takim razie dziwne, że dotąd nie rzuciłeś palenia.

- Rzuciłem - wyjaśnił. - Ale to takie fajne. Musiałem zacząć na nowo, żeby wszystko powtórzyć.

- No, to masz idealną okazję.

- Nie mógłbym marzyć o lepszej.

- To rzucisz?

- Czym?

- Czy rzucisz palenie?

Nie, do diabła - pomyślał, ale ona wpatrywała się w niego z taką nadzieją.

- Pewnie. Czemu nie?

- Zawsze myślałam, że to trudniejsza decyzja.

- Nie dla mnie.

Uśmiechnęła się. Jego serce zabiło gwałtownie.

- Obiecujesz?

- Jasne.

Byli od siebie oddaleni tylko o parę centymetrów. Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- No, to idź już spać - powiedziała nagle i odwróciła się. Spać? To mało prawdopodobne, ale ruszył po schodach, powtarzając sobie w myślach wydarzenia dnia.

Pewnie, miał znakomity dzień. Nie wyszło mu pisanie, zaatakował go napalony kot, a Polyanna z kucykiem wykiwała i odesłała do łóżka bez papierosa.

Gorzej już chyba być nie może, pomyślał, wchodząc do swojego pokoju. Zamarł w drzwiach i zmienił zdanie.

Babcia Sorenson własnoręcznie zmontowała jego meble.

## *ROZDZIAŁ PIĄTY*

„- Josh widział, jak paliłaś!

Twarz matki była ściągnięta i pełna dezaprobaty. Zgorszenie biło z niej jak..." Jak co, zastanawiał się Daniel. „Jak dym z fabrycznego komina". Nie. „Jak smród od śmietnika". Myśl! Musiał myśleć... i kasować.

„Biło od niej zgorszenie". Kropka.

„- Nie paliłam - powiedziała Alysha.

- Kłamiesz. Całkiem jak twój ojciec.

Ból zacisnął się wokół szyi Alyshy niczym stryczek.

- Nie jestem taka jak on. - Jej słowa zabrzmiały jak głuchy szept rozpaczy, jak zimny wiatr wiejący przez szpary w ścianach".

Nieźle.

„Nie mogła się zmusić, by podnieść wzrok, by zobaczyć obrzydzenie na twarzy matki, wiedzieć, że..."

Śmiech wpadł do pokoju niczym promień słońca i rozproszył myśli Daniela.

- Musiałem się podzielić... z...

Daniel wiedział, że to Bill. Po prostu wpadł, „żeby zabrać swój czek, o ile to nie kłopot". Jesika znowu się roześmiała.

- Dopilnuję, żeby babcia...

Urywki dialogu dolatywały na górę jak leniwe obłoczki.

- Jak... ona...

- ...ciężko. Wiesz...

Cisza. Nareszcie. Daniel znowu położył palce na klawiaturze.

„Dusza Alyshy była jak martwa".

- Nikt nie rozumie... - Głos Billa. - ...lepiej... kiedy Abby straszyla... mnie rzuci.



Uwaga Daniela znowu skupiła się na dialogu na parterze.

- ...wciąż trudno... - mówiła Jessie. Co było trudne?

- Jeśli jest cokolwiek...

Głosy były teraz cichsze, ledwo słyszalne. Daniel pochyła się, nasłuchując. Nowe krzesło zaskrzypiało. Co tu się dzieje?

- ...uzal...

Uzal... co? Daniel pochylił się mocno, wstrzymał oddech i czekał na następne słowo.

- ...dobrze - powiedziała Jesika. - Babcia... twarda jak... Rozległo się pukanie. Wyprostował się gwałtownie.

- I jak te meble? - W drzwiach ukazała się babcia.

Daniel poszukiwał gorączkowo jakichś słów, jakiegoś wytłumaczenia, po czym nagle przypomniał sobie, że przecież nie musi się przed nią z niczego tłumaczyć. To przecież on, Daniel MacCormick. Przynajmniej kiedyś nim był.

- Meble są w porządku - powiedział.

- To dobrze. Miło mi to słyszeć. - Milczała przez chwilę. - Całe życie byłam farmerką, wiesz? Dlatego umiałam je poskładać. A ty byłeś... no... no robiłeś to, co się robi w mieście. Pewnie nie miałeś dużo czasu na składanie rzeczy do kupy.

- Nie.

- Muszę mieć jakieś zajęcia - stwierdziła i oblizała suche wargi. - Bezczyne ręce wdają się w diabelską robotę.

Dobry Boże! Czyżby robiła mu propozycję?

- Proszę posłuchać - oznajmił. - Doceniam, że zmontowała pani moje meble, ale w tej chwili potrzebuję odrobiny prywatności. - Słyszając taki ton, początkujący reporterzy uciekali z powrotem do rodzinnych gniazdek, informatorzy wyklepywali wszystko, co wiedzieli, a zaprawieni w bojach redaktorzy dobrze się zastanawiali przed podaniem w wątpliwość jego metod. Babcia roześmiała się.

- Prywatności, akurat - prychnęła, odrywając wzrok od jego piersi. -  
Chodź i zjedz śniadanie - zaprosiła, jakby byli serdecznymi przyjaciółmi.

- Nie chcę żadnego śniadania - warknął i zastanowił się przelotnie, czy był to głos nagradzanego reportera, czy nadąsanego chłopczyka.

- Jak jeszcze schudniesz, to spodnie ci spadną. - Uśmiechnęła się. -  
Chociaż wątpię, żebyś miał coś, czego bym już nie widziała. Ale i tak... -  
Mrugnęła. - Nie chcemy, żeby twój wujek Cecil pomyślał, że cię tu wykorzystujemy.

- Usiłuję wykonać pracę. Nie powinien być tego mówić.

- Tak? - W mgnieniu oka znalazła się w środku. Zdziwiająco, jak szybko staruszka umiała się ruszać, jeśli tylko chciała. - Nad czym pracujesz?

Jednym ruchem Daniel wyłączył monitor.

- Pani Sorenson! - Obawiał się, że jego ton najlepszego reportera stracił na stanowczości, ale nie zamierzał przyznawać, że pojawiła się w nim nutka paniki.

- Wiem, że uważa pani...

- Założę się, że kilka papierosów doskonale by ci teraz zrobiło, co? -  
zapytała i skrzywiła się. - Oczywiście moja wnuczka urwałaby ci głowę, gdyby zobaczyła, że palisz. - Westchnęła. - No, to równie dobrze możesz zjeść śniadanie.

- Nie chcę żadnego śniadania! - warknął znowu.

A niech to szlag! Zareagował zbyt gwałtownie. Nie mógł sobie pozwolić na stratę tego żalosego pokoiku w tym żalosem domku w tym żalosem miasteczku. Nie w tej chwili, kiedy już prawie odnalazł swoją muzę. Gorączkowo usiłował przypomnieć sobie, jak się przeprosza.

I wtedy babcia parsknęła śmiechem.

- Oj, tak. Źle z tobą - oznajmiła i mrugnęła do niego. - Cóż, jak już nie będziesz mógł wytrzymać, zajdź do mojego pokoju.

Czyżby robiła mu propozycję? Nie pytał, bojąc się, że mogłaby odpowiedzieć.

- Pierwsze drzwi na lewo - powiedziała, po czym obróciła się na pięcie i wyszła.

Zebranie myśli na tyle, by włączyć monitor, zajęło mu piętnaście minut, zabranie się z powrotem do pisania pół godziny, a przyznanie się do porażki dwie godziny.

Znowu zaczęły do niego dolatywać drobne fragmenty rozmów.

Schody skrzypiały, a on za każdym razem podskakiwał, bojąc się wizyty kolejnego szalonego gościa. Cursor mrugał do niego z ekranu.

Daniel zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić po wytartym dywanie. I wtedy właśnie poczuł zapach kawy. Zamarł, wężąc jak wilk, który złapał trop.

Prawda, nie chciał mieć nic wspólnego z tym domem wariatów. Ale jednocześnie rzucanie palenia i kawy...

Stare schody skrzypiały pod jego ciężarem. Z pokoju muzycznego doleciał szczęk metalu o szkło. Komar zaśmiał się. Jesika wybuchnęła radosnym śmiechem.

Przeszedł obok drzwi - zapach dolatywał z kuchni. Znalazł kubek i nalał sobie do pełna. Wypił łyk, zamknął oczy i poddał się przyjemności.

Po wypiciu połowy kubka poczuł się odrobinę lepiej. Napełnił go znowu i ruszył w stronę schodów. Ale jeśli wróci na górę, trudno mu będzie wymyślić dobrą wymówkę, żeby nie zabrać się do pracy. W tej chwili nawet rozmowy z miejscową ludnością wydały mu się bardziej zachęcające, więc wszedł do pomieszczenia, które kiedyś było pokojem muzycznym.

- Znalazłeś kawę - odezwała się Jessie.

- Tak. Dzięki. Ja...

Komar odsunął się na bok i Daniel zobaczył stół z nierdzewnej stali. Na stole leżał na grzbiecie wielki żółty pies. Język wystawał mu z pyska, ale to nie ta część jego ciała przyciągnęła uwagę Daniela.

Jesika podniosła wzrok. Jej okryte gumowymi rękawiczkami ręce zawisły na moment.

- Nie ma sprawy. Sama piję herbatę z rumianku, ale pomyślałam, że skoro rzucasz palenie, to kawa pewnie ci dobrze zrobi. Nigdy wcześniej nie widziałeś kastracji?

Na Boga, było coś ogromnie niepokojącego w widoku jego małej Nemezis z kucykiem, usuwającej czyjeś jądra, nawet jeśli był to tylko pies.

- Nie. Jakoś nie.

- Nie mdli cię chyba na widok krwi, co?

- Chyba ci wspomniałem, że byłem w Irlandii.

- Komar, zaciśnij mocniej, dobrze? MacCormick, jak już tu jesteś, to podaj mi słoik z gazą. Tam, na półce.

- Ach. Jasne.

Wziął słoik, rozglądając się wkoło, byle nie patrzeć na to nacięcie, na odsłonięte jądro ani w ogóle na tego psa.

- Dzięki. Otwórz, dobrze?

Zrobił to, a ona znowu zabrała się do dzieła. Daniel postanowił stąd wyjść. Jego powieść czekała. Dlatego tu przyjechał. Jednak nie ruszył się z miejsca, wpatrując się w psa.

- To Maks? - zapytał w końcu.

- Tak. Skąd wiesz?

- Poznałem to coś na uszach - odparł, wskazując ruchem głowy dziwaczną czerwoną zapinkę leżącą na stole.

- A, babci nausznik.

- Właśnie. - Bardzo się starał, by zabrzmiało to tak, jakby wiedział, o co chodzi.

Uśmiechnęła się.

- Labradorom często zdarzają się infekcje uszne, bo mają obwisłe uszy. Powietrze nie dociera do środka. Babcia wymyśliła więc to. Pomaga w leczeniu infekcji.

- Nie masz żadnych leków?

- Pewnie, że mam. Ale po co mam używać leków, skoro można osiągnąć ten sam efekt dużo taniej?

- Bo masz w tym interes? - usiłował zgadnąć.

- Mój interes to zdrowie zwierząt.

A zatem to była cała Jesika Sorenson - lekarka, która unikała formalnej medycyny, wiejska dziewczyna z paznokciami u nóg jak u tancerki rewiowej, jadająca za dużo, ale unikająca kofeiny jak diabła.

Kiedyś myślał, że w ogóle się nie zmieniła przez ostatnie dziesięć lat, ale mylił się. Dostrzegał różnice - jakiś cień nieufności, który zostawiły po sobie upływające lata i... i co jeszcze? Przebyte trudy? Kiedyś jej optymistyczna wizja świata wydawała się po prostu naiwna, a teraz wyglądała na... zdecydowaną, stanowczą - jakby mogła uczynić świat takim, jakim chciała, żeby był. Była to naiwność czy determinacja? Jej powiek i ust nie pokrywała ani odrobina makijażu, a jednak każda nowojorska modelka pozazdrościłaby...

- Hej, Komar! Obudź się! O czym tak rozmyślałeś?

- O niczym! - zapewnił Komar.

Daniel o mało co nie prychnął pogardliwie. Biedny frajer, pomyślał, wychodząc z pokoju i wspinając się na schody. Szkoda mu było tego żalosego chłopaka wypatrującego sobie oczy za Jesiką Sorenson.

Godziny płynęły jedna za drugą. Słowa nie chciały. Daniel wstał z krzesła i znowu zaczął chodzić po pokoju. Komputer przyglądał mu się z nowego biurka. Pusty ekran po prostu wyśmiewał się z niego. Cursor mrugał wesoło.

A niech to! Jak on ma tu myśleć, skoro ten piekielny kursor nie przestaje mrugać?

Kiedyś wydawało się to takie naturalne, takie proste. Mógł pisać zwinięty w fotelu, wyciągnięty na łóżku albo...

No właśnie! Napięcie jest zbyt duże. W młodości po prostu zapisywał swoje myśli w notesie, a potem wystukiwał na staroświeckiej i ciężkiej maszynie typu Smith-Corona.

Potrzebował tylko notesu... i starej maszyny Smith-Corona.

Zakupienie całego pudła notatników było bardzo proste. W przeciwieństwie do zlokalizowania wciąż działającej maszyny Smith-Corona. Ale w końcu mu się udało.

Wrócił po ciemku do zwierzęcego domu. Zaparkował swojego sypiącego się grata przed domem i wziął pudło notatników. Drzwi były otwarte. Wszedł do środka.

- Ach, to ty - Jesika zaśmiała się nerwowo.

Daniel popatrzył na nią, po czym przeniósł wzrok na mężczyznę stojącego obok niej. Był nieco po trzydziestce, przystojny, o łagodnej urodzie - miał wrażliwą twarz i wyraźnie już cofającą się linię włosów. Daniel natychmiast go znienawidził.

- Jesiko, to musi być twój nowy lokator - domyślił się.

- Tak, to on. Elstonie, chciałabym ci przedstawić wielebnego Tony'ego. On i jego żona przenieśli się tu parę miesięcy temu z Minneapolis. Uwielbia obserwować ptaki...

- ...oraz inne leśne zwierzęta.

- Wielebny? - powtórzył Daniel, nie wyciągając ręki.

- Tak. - Miał bardzo melodyjny głos. Głos kaznodziei. - Jestem pastorem w tutejszym kościele.

- Ach - odparł Daniel, usiłując zignorować uczucie ulgi, które nagle go ogarnęło.

W pokoju zapanowała cisza.

- Czy zamierza pan długo pozostać w Oakes, panie Rolands?

- Nie za długo - odparł Daniel i odkrył, że właśnie wyczerpał mu się zapas uprzejmości towarzyskich.

Właściwie to po co on tu stoi? Przecież wcale go nie interesuje, kto przychodzi do tego domu. Obdarzył więc pastora krótkim skinieniem głowy i wdrapał się po schodach, by złożyć pudło na łóżku.

Po chwili wrócił po swoją nową maszynę.

- ...powinienem już pójść - mówił teraz pastor. - Może pomóc panu zanieść bagaże?

- To już wszystko.

- W porządku. Cóż, miło mi było poznać, panie Rolands.

- Mhm.

No, to idź już sobie, pomyślał Daniel, ale nie zdołał wymyślić żadnego powodu, by pozostać na parterze. Zaniósł maszynę na górę. W swoim pokoju włączył światło łokciem, ułożył cenny ciężar na łóżku obok notatników i pośpiesznie ruszył w stronę biurka. Wylączając komputer z kontaktu, poczuł, jak przeszywa go dreszcz satysfakcji. Właśnie tego było mu trzeba do skończenia powieści.

- Twoja żona... nie... - dobiegł go głos Jesiki.

- ...nic nie podejrzewa... złamałoby jej serce. Nie mogę...

- Wiem... nie mówić... ale... ciężko... - Przez chwilę panowała cisza, po czym zabrzmiało: - Dobranoc.

Daniel siedział przez chwilę w osłupieniu. Jesika Sorenson... i luterański pastor!

## *ROZDZIAŁ SZÓSTY*

Jakoś udało mu się przespać kilka godzin, ale potem zbudził się i znowu zaczął chodzić tam i z powrotem.

Alysha! Jaki teraz uczyni wybór? Czy złamie się pod wpływem surowej dezaprobaty matki i stanie się zaledwie cieniem kobiety, którą powinna się stać, czy też może ucieknie, szukając wolności i aprobaty, by odnaleźć tylko ból i złamane serce...

- Cholera! - zaklął głośno Daniel.

Sorenson i pastor? I to w dodatku żonaty pastor! Przecież jemu nic do tego. Skądże znowu! Dlaczego niby miałyby go to obchodzić? Ale ona była taka radosna i... Nie będzie tym sobie zawracał głowy! Przyjechał tu, by napisać książkę i tyle. Ale... Sorenson i pastor?

Żałował, że dosłyszał tę rozmowę. Komuś innemu zasłyszane urywki mogłyby się wydać całkiem niewinne, ale nie jemu. On był reporterem, wyszkolonym w wyciąganiu najrozmaitszych wniosków z jednego tylko słówka, a tamte słowa...

Alysha! Zagubiona, spragniona, stłamszona przez matkę i...

I jeszcze jedno! Babcia Jesiki. Czyżby czyniła mu niedwuznaczne propozycje? To chyba niemożliwe. Ale... „Cóż, jak już nie będziesz mógł wytrzymać, zajdź do mojego pokoju”.

Uzależnienie! To tego słowa nie mógł zrozumieć. O tym właśnie rozmawiali Bill i Jess. Babcia zwalczała nałóg, a Bill... Bill miał ten sam problem. Bill, który zostawił w Chicago kwitnącą firmę. Jakież mógłby być inny powód, niż jakieś straszliwe problemy, których nie mogła tolerować ani jego żona, ani pracodawca. Narkotyki same nasuwały się na myśl.

Żona groziła mu rozwodem, więc spakował dyplomy do walizki i opuścił środowisko, w którym czyhało na niego tak wiele pokus. Przyjechał do Oakes,



by się wyleczyć. Do Oakes, gdzie najprawdopodobniej nie było żadnej możliwości zdobycia narkotyków.

Ale czy osiągnął swój cel, czy też... Może babcia Sorenson dostarcza mu towar! Może handluje narkotykami. No właśnie... rośliny! Wyglądały co prawda całkiem niewinnie, ale przecież maki też tak wyglądają... Maki! Opium! A jeśli ma opium, to dlaczego nie miałyby mieć też heroiny i...

Cholera! Chyba traci rozum. Utknął w tym zakichanym miasteczku ze swoją niewierną muzą i...

Nic nie jest ważne oprócz jego książki. Babcia Sorenson może sobie być największym dealerem narkotyków w trzech okręgach. Jesika może sobie romansować z samym papieżem. Nic go to nie obchodzi. Przyjechał tutaj, by pisać, by stworzyć kronikę tragicznego życia Alyshy. Zauroczyć amerykańską publiczność swoją zachwycającą prozą i...

To nucenie! Jak on ma pracować, kiedy ktoś tu nuci! Daniel szarpnięciem otworzył drzwi i zbiegł po schodach.

- MacCormick! - wykrzyknęła Jesika, jakby jego widok ogromnie ją zdziwił.

Wpatrzył się w nią. Miała szyję primadonny i stopy elfa, ale dzisiaj zauroczyły go jej usta. Były różowe jak goździki... Nie, nie goździk. Może to łośsiowy róż. W każdym razie były szerokie i ruchliwe. Śmiech był ich najlepszym przyjacielem, szczerść stałym towarzyszem. Nie mogła być cudzołożnicą.

- Co to za nucenie? - warknął.

- Nucenie? Ach.

Przesuwała pudełko ze strzykawkami i jakimś nadmuchiwany wężem, którego zastosowania wolał nie dochodzić. Machnęła głową w stronę pokoju operacyjnego.

- To Komar... - Muszę lecieć - oznajmiła, zabierając swój sprzęt i ruszając do drzwi. - Koń dostał kolki. Jeśli poczujesz gwałtowną potrzebę powrotu do Los Angeles, nie musisz czekać, by się pożegnać.

- Do Nowego Jorku - poprawił, patrząc na nią groźnie, ale ona już wychodziła.

Wszedł więc do sali operacyjnej. Rzeczywiście, Komar siedział po turecku przed klatką, nucił coś i głaskał Maksa. Wielki pies leżał na boku, znowu z upiętymi uszami i radośnie wywieszonym językiem.

Przez chwilę Daniel zastanawiał się, czy nie kazać się Komarowi zamknąć, ale pewnie to nie jego wina. Może szaleństwo jest zaraźliwe, a on złapał je od pozostałych wariatów w tym domu. A może to po prostu skaza genetyczna i...

No tak, Komar był najprawdopodobniej jakoś spokrewniony z Sorensonami. To nieustanne krzyżowanie się rodzin...

Daniel wstrzymał oddech. Przez cały czas wydawało mu się, że akcja książki powinna rozgrywać się w dużym mieście. Ale mylił się. Alysha nie mieszkała w Chicago, Nowym Jorku czy Detroit. Mieszkała w Iowa, w Oakes, stan Iowa. I była owocem kazirodztwa... może nawet sama o tym nie wiedziała.

Nie zastanawiając się dłużej, Daniel pobiegł po schodach do swojego pokoju.

Wiedział dokładnie, co musi zrobić, co musi napisać. Ale słowa, które krążyły i brzęczały w jego głowie jak pszczoły w ulu, za nic nie chciały wyjść.

Późnym rankiem znowu zaczął krążyć po pokoju. W południe rozbolała go głowa. Wieczorem ścisnęło go w żołądku, plecy zeszywniały, a nie napisał ani jednej strony.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczył.

- Czego? - warknął.

- MacCormick?! - zawołała Jesika.

Zdawała się zaniepokojona, ale nie obchodziło go to, w każdym razie nie na tyle, by otwierać jej drzwi.

- Idź sobie.

- Posłuchaj, mam problem. Prychnął i podjął marsz po pokoju.

- Danny? - Zapukała dwa razy. - Mogę na chwilę wejść?

- Nie.

Ale ona już otwierała drzwi.

- Słyszałaś kiedyś o prywatności? - warknął.

- A tobie, co się stało? - przerwała mu.

Patrzył na nią złowrogo. Dlaczego ona, u licha, zawsze musi wyglądać tak pogodnie? Nienawidził pogodnych osób.

- Pracuję.

- Pracujesz? Naprawdę? Posłuchaj, mam problem.

- Taak - zgodził się z nią.

- Komar...

- Jest owocem kazirodczego związku, stąd jego ograniczone zdolności umysłowe, a...

- Ograniczone? Miał najlepsze wyniki w końcowych testach. Jest urodzonym lekarzem, ale nawet przy stypendiach nie stać go na... - Pokręciła głową i umilkła. - Słuchaj, Komar pracuje u Caseya. Babcia poszła z Betty na bingo. Nawet...

- Czego, u diabła, chcesz, Sorenson?

Spojrzała na niego spod uniesionych brwi, jakby sama się nad tym zastanawiała.

- Potrzebna mi twoja pomoc.

Zamarł na chwilę, czekając na ciąg dalszy. Nie doczekał się.

- Z... - zaczął, ale przerwał mu dzwonek do drzwi. Jesika drgnęła gwałtownie.

- Już jest. Chodź. Musimy się spieszyć. Ale musisz zachować spokój. Udawaj, że wszystko jest w najlepszym porządku.

- Jakie wszystko?

- Greta jest już wystarczająco zdenerwowana.

- A kto to, u diabła, jest Greta?

- Właścicielka.

- Czego?

- Proszę do środka. - Puściła jego ramię i otworzyła drzwi.

Daniel mógł tylko zakładać, że to właśnie jest Greta. Weszła do środka pośpiesznie, niosąc kartonowe pudełko. Była to przeciętnie wyglądająca kobieta koło czterdziestki, nieco grubawa.

- Jak się czuje? - zapytała Jesika.

- Nic się nie dzieje. - Kobieta mówiła szeptem, jej blade wargi były zaciśnięte.

- Kiedy zauważyłaś, że rodzi? - spytała Jessie, prowadząc ją do sali operacyjnej.

Greta postawiła pudło na lśniącem stalowym stole i sięgnęła do środka.

- Właśnie wróciłam z pracy. Nie wiedziałam, kiedy... - Odchrząknęła i popatrzyła do pudła. - Nie wiedziałam, kiedy spodziewać się szczeniąt.

- No dobrze, połóżmy ją na stole.

Po chwili pies był już na blacie. W każdym razie Daniel zakładał, że to jest pies. Bardziej przypominał szczotkę do kurzu skrzyżowaną z piłką futbolową. Zwierzę miało trójbarwną, mechata sierść i było okrągłe niczym globus. Dysząc, stało na drżących łapkach. Wykręciło szyję, by polizać nadgarstek Jesiki.

- Czy możesz jej pomóc? - Gretę zawiódł głos.

- Spróbujemy.

- To znaczy... - Greta przeniosła wzrok na Daniela i z powrotem na Jessie.

- Wiem, że to tylko kundel. Nic niewart - dodała, ale jednocześnie wyciągnęła

rękę, by podrapać drżącą dłonią pieska za uszami. - A co do honorarium... obawiam się, że nie będę mogła zapłacić ci wszystkiego od razu, ale...

- O to będziemy się martwić później - oznajmiła Jessie.

Daniel uznał, że osoby zdrowe na umyśle nie prowadzą w ten sposób interesów. Ale przecież Jesika Sorenson nie była osobą zdrową na umyśle.

- Przytrzymaj ją na chwilę, dobrze? Dam jej coś na uspokojenie.

- I jak? - zapytała po chwili Greta drżącym głosem.

- Obawiam się, że sytuacja jest dość poważna. Trzeba będzie zrobić cesarskie.

- Ach. Czy chcesz... to znaczy, czy powinnam zostać i pomóc?

- Nie. - Jesika pokręciła głową. - Poradzimy sobie. Postaraj się zachować zimną krew - uspokajała ją. - Przybłąda jest silniejsza, niż na to wygląda, a... pan Rolands jest znakomitym asystentem.

Greta znowu popatrzyła na Daniela, ale jego zamurowało.

- No dobrze, więc ja... - Greta odchrząknęła. - To ja już pójdę. - Odwróciła się, ale zaraz wróciła, by jeszcze raz pogłaskać suczkę po głowie. - Przybłądo, bądź grzeczna dla doktor Jess. Ja... wrócę do ciebie, jak tylko będę mogła.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi Daniel rzucił Jessice mordercze spojrzenie.

- Muszę iść po narkozę. Uważaj, żeby nie zeskoczyła ze stołu.

- Naprawdę mi przykro, że muszę rozwiać twoje urojenia - zwrócił się do niej, kładąc jednak rękę na grzbiecie psa. - Ale nie jestem i nigdy nie byłem asystentem weterynarza.

- O, już. - Wróciła ze szklaną butlą i maszynką do golenia, którą zaraz włączyła do kontaktu. - Przyciśnij ją do siebie. Prawą ręką złap za pysk. Lewą tuż za łokciem. O tak. - Przycisnęła nastroszoną kulę do jego piersi. Nawet przez koszulę czuł ciepło jej dłoni. - Trzymaj mocno. Normalnie jest słodka i łagodna, ale teraz się boi. Może ugryźć.

- Ugryźć?

- Chyba się nie boisz, co?

Skrzywił się. O ile pamiętał, nie lubił, by go gryziono. Ale jeszcze bardziej nie chciał uchodzić w jej oczach za tchórza.

- Spędziłem dwa tygodnie w więzieniu San Quentin.

- Jako więzień czy reporter?

- Reporter przebrany za więźnia.

- Ciągłe zapominam, jaki z ciebie twardy facet.

Uniosła przednią łapkę psa, goląc mały punkt. W sekundę wbiła igłę w żyłę, a w kolejnej sekundzie piesek całkowicie oklapł w ramionach Daniela. Popatrzył na niego z niejakim zaskoczeniem.

- Masz pojęcie o tym, co robisz, Sorenson?

- Oczywiście, że mam. Połóż ją na boku.

- Posłuchaj, nie mam na to czasu. Muszę...

- Moim zdaniem nachodziłeś się już po tym pokoju na całe życie, MacCormick. Podnieś tę łapę.

- Tę? - upewnił się, unosząc lewą tylną łapę psa.

- Właśnie. Trochę wyżej. Muszę ją ogolić.

Wykrzywił się, patrząc na olbrzymi brzuch, napięty i różowy, po którym przesuwała maszynkę.

- Mogłaby być znakomitą reklamą środków antykoncepcyjnych - orzekł.

- Jasne, jak nauczysz psy oglądać telewizję. Podaj tę butelkę. Popryskaj miejsce nacięcia

Miejsce nacięcia? Wcale mu się to nie podobało.

- Posłuchaj, Sorenson... - zaczął, ale znowu mu przerwała.

- MacCormick, raz w życiu postaraj się pomyśleć o kimś innym, nie o sobie. Przybłąda cię potrzebuje. Greta cię potrzebuje. - Urwała na chwilę. - Ja cię potrzebuję. - Patrzyła na niego poważnie. - Mnie też się to nie podoba. Ale tak jest.

Zapanowała cisza. Starał się jak mógł, ale jakoś nie był w stanie oderwać spojrzenia od jej oczu.

- No dobrze - powiedział w końcu.

Przygotowania zostały szybko ukończone. Przybłęda została przypięta do stołu. Pojawiła się taca pełna różowego płynu i srebrnych instrumentów. Piesek został okryty ręcznikiem i...

- Gotowy? - Jesika spojrzała na niego, unosząc skalpel. Zrobiło mu się trochę niedobrze.

- Robiłaś to już kiedyś, Sorenson?

- Nie zemdlejesz mi chyba, co?

- Czy nie opowiadałem ci o...

- San Quentin? - zapytała z uśmiechem.

Potem już wszystko było poważne. Prosiła o rozmaite narzędzia, które on znajdował. Pojawiały się i znikaly rozmaite organy. Zostało zrobione ostatnie cięcie, po czym z rozdętego ciała suczki wydobyta została ciemna, oślizgła kulka.

Jesika wyciągnęła ją na światło dzienne. Kulka popiskiwała i wierciła się w jej dłoni.

- Koc elektryczny - zażądała.

- Co?

Z trudem oderwał wzrok od wiercącej się kulki, całkiem pewien, że była tylko o połowę mniejsza od matki.

- Koc elektryczny - powtórzyła, wskazując mu ruchem głowy szafkę. - Włącz go i weź jeszcze jeden ręcznik.

Spełnił polecenie. Po kilku minutach cztery szczeniaki popiskiwały i wierciły się w gniazdku zrobionym z koca elektrycznego i ręczników.

Zaszywanie potrwało jakiś czas. W końcu Przybłęda została przewrócona na bok i dostała kolejny zastrzyk.

- To ją obudzi - wyjaśniła Jesika. Daniel przyglądał się równym szwom.

- Może wolałaby trochę pospać. Jakiś miesiąc.  
- Nie ma czasu - oznajmiła Jessie. - Teraz jest mama.  
- Z całą pewnością znakomita reklama antykoncepcji.  
- W każdym razie dobry argument za powstrzymaniem się od kopulacji z  
dwa razy większymi psami.

Stłumił chichot i popatrzył na nią.

- Nigdy nie nabierzesz ludzi na ten swój anielski wygląd, jeśli będziesz  
mówić takie rzeczy.

- Zdziwiasz mnie, MacCormick. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie  
nauczyłeś się, że nie należy sądzić ludzi po pozorach?

- Mnie nie nabrałaś ani na chwilę.

Przybłąda zaraz podniosła główkę, a po chwili przesuwała już różowym  
językiem po najbliższym z jej ciemnych, wiercących się szczeniąt i  
wymachiwała włochatym ogonem.

Jesika postawiła pudło z nową rodziną na podłodze i wyłączyła światło.  
W półmroku obserwowali psią gromadkę.

- No dobra, przyznaję - odezwał się w końcu Daniel.

- Co przyznajesz? - Podniosła niebieskie jak kwiaty powoju oczy.

- Rzeczywiście jesteś weterynarzem.

- Myślałeś, że kłamię? - Roześmiała się.

- Myślałem, że masz urojenia. - Wzruszył ramionami. - Ale może źle cię  
osądziłem.

- No cóż. - Spuściła wzrok, poprawiając ręcznik, owijający szczeniaki. - A  
ja myślałam, że jesteś zrzędą. Ale może też źle cię osądziłam.



## *ROZDZIAŁ SIÓDMY*

Daniel uznał, że teraz jest najlepszy moment na powrót do pokoju. Kiedy kobieta zaczyna posądzać go o bycie człowiekiem, należy się natychmiast ewakuować. Coś jednak trzymało go w miejscu.

- Mówisz, że bywałem zrzedliwy? - zapytał.

- Zrzedliwy? - powtórzyła, rzucając mu pytające spojrzenie. - Nie. Nieznośny? Tak. - Usadowiła się na dywanie, by popatrzeć na psią rodzinę.

Daniel znowu rozważał wyjście, ale w tym pokoju panowała taka cisza. Żadnych duchów niewiernych muz czy utraconego talentu. Nawet wspomnienia o jego matce wydawały się słabsze. Po chwili też usiadł na dywanie przy pudle.

- Dlaczego tu zostałeś, Sorenson? Mam takie dziwne wrażenie, że wszędzie mogłabyś odnieść sukces.

- Czyżby to był komplement?

- Mam nadzieję, że nie.

Jej śmiech zabrzmiał jak kościelne dzwonki. Niejasno sobie przypomniał, że nie lubi kościelnych dzwonek.

- Dlaczego tutaj? - zapytał jeszcze raz.

- Małe miasteczka... - Wzruszyła ramionami. - Są takie urocze, a tak szybko znikają. Lubię myśleć, że tutaj jest mój dom.

Chciałby wyśmiać te słowa, ale chociaż minęło tyle lat, chociaż zaznał tu takiej samotności, nie mógł zaprzeczyć, że w jakimś sensie tu było jego miejsce. Czuł się tak, jakby nigdy nie wyjechał, jakby każdy dzień życia spędził w tym zapadłym miasteczku na końcu świata.

- Nie ma żadnej tajemnicy w tym, czemu tu jestem. Ale ty...

- Pogłaskała suczkę. - Dlaczego wróciłeś? Jesteś chory?

- Znowu do tego wracamy?

- Przepraszam. Tylko że... - Urwała. - Od tak dawna tu nie zaglądałeś. Nie przyjechałeś nawet na pogrzeb ojca.

- I zastanawiasz się, dlaczego? - zapytał w końcu.

- Nie - pokręciła głową. - Wiem, dlaczego. Matka cię opuściła. - Mówiła bardzo cicho i nie patrzyła mu w oczy. - Wspomnienia były zbyt bolesne, byś mógł wrócić. Mam rację? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Zamierzałem powiedzieć, że byłem zbyt zajęty. Uśmiechnęła się łagodnie. W jej lewym policzku ukazał się uroczy dołeczek.

- Nie sądziłam, że należysz do ludzi idących na łatwiznę.

- Potrafisz ocenić ludzi, co?

Spojrzała rozmarzonym wzrokiem na pieski.

- On był z ciebie naprawdę dumny. Twój tata... - ciągnęła.

- Słyszałam, jak kiedyś opowiadał o tobie w kawiarni. Jaki to jesteś zdolny.

- Kiedy to było?

- Nie wiem. Siedem, osiem lat temu.

- Po śmierci mamy. Może kiedy w pełni zrozumiał, że ona już nie wróci, był w stanie pomyśleć o czymś innym.

- Na przykład o tobie?

- Czy to zabrzmiało tak żałośnie, jak myślę?

- Nie. - Znowu się uśmiechnęła. - Masz prawo czuć się zraniony, McCormick.

- Nie czuję się zraniony - zaprotestował odruchowo.

- Czasami dobrze jest otworzyć się chociaż trochę.

- Tego też nie robię.

- Zauważyłam.

Daniel odetchnął głęboko i wsparł się na łokciu.

- A ty, Sorenson? Twoje wspomnienia też nie mogą być zawsze takie urocze.

- Więcej mam dobrych niż złych - stwierdziła. - Lubię tutejszych ludzi. Lubię to miejsce. Pewnie dlatego wciąż tu jestem. Ale nigdy się nie spodziewałam, że ty wrócisz.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał, dbając o zachowanie beztroskiego tonu.

- Długo nie miałam żadnego przeciwnika.

Co to? Żadnych przekomarzań? Panicznych zaprzeczeń?

- Komar nie nadaje się do dyskusji?

- Komar ma wspaniałą intuicję, jest inteligentny i wrażliwy, ale czasami ma problemy z koncentracją, kiedy...

- Kiedy ty jesteś na tym samym świecie?

Uniosła brwi, jakby analizując w milczeniu jego słowa. Skrzywił się. Rzadko wypadał korzystnie w takich analizach.

- Jestem dla niego autorytetem - powiedziała w końcu. - Czymś w rodzaju drugiej matki.

- Jeśli Moskit myśli o tobie jak o matce, to Saddam Husajn jest moją ukochaną cioteczką.

- Dostrzegam nawet podobieństwo. - Przechyliła leciutko głowę. - W każdym razie w charakterze.

Spróbował osadzić ją groźnym spojrzeniem, ale nie wyszło.

- Przykro mi, że masz teraz kłopoty, MacCormick.

Kłopoty? Powiedziałby to na głos, ale nagle nie mógł z siebie wydobyć nawet pisku.

- Wiem, że byłam... niezbyt gościnna. Nie chciałam dokładać ci zmartwień. Tylko że... - Westchnęła. - Było ciężko... no wiesz... z babcią i spłaceniem studiów i... no, wydawało się, że wreszcie wszystko się układa, a wtedy ty się pojawiłeś. - Wzruszyła ramionami. - Bałam się, że Cecil wyrzuci mnie na bruk, skoro wrócił jego cudowny bratanek. Ale on chyba...

- Też ma trudności z koncentracją, kiedy jesteś na tym samym świecie?

- Był cudowny. Bardzo nam pomógł - powiedziała. - Chciałabym... w zamian pomóc tobie.

- Pomóc mi? - wykrztusił. Zachwycił się jednocześnie gładkością jej szyi. Z tymi falującymi jasnymi włosami wyglądała jak anioł. Ciekawe, jakby to było - pocałować ją w szyję?

- Wiem, że w tej chwili nie idzie ci najlepiej.

Ile razy jako dzieciak wyobrażał sobie, że ją całuje? No pewnie, denerwowała go, ale...

- Wszystko się ułoży - zapewniła i energicznie wstała z podłogi. - Chcesz herbaty?

- Uśpi mnie. Nie będę mógł chodzić po pokoju. Roześmiała się i wyciągnęła rękę. Zamknął jej dłoń we własnej.

Serce zabiło mu trochę szybciej. Jej palce były jednocześnie delikatne i silne. Przez chwilę stali tak blisko siebie, że czuł zapach jej skóry. Nie perfum, nawet nie mydła. Głęboki, prawdziwy zapach - jej własny. Jak promienie słońca i śmiech, i...

A niech to! Co się z nim właściwie dzieje? Usiłował zmusić swoją rękę, by wypuściła jej dłoń. Po chwili mu się udało.

No nie, ale tu gorąco. Nie pamiętał, że w Iowa jest aż tak gorąco. A może to dlatego, że jej piersi tak wyraźnie odznaczały się pod miękką, bawełnianą bluzką.

- Chcesz cytrynową czy miętową?

- Ach. Nieważne.

- Czytałam kilka twoich artykułów.

Było coś fascynującego w tym, jak przygotowywała herbatę. Jej ruchy wdzięczne i celowe, istna poezja. Żadnych torebek. Listki trzymała w pękatach szklanych słojach. Teraz nałożyła je do małych metalowych kulek i włożyła do kubków.

- Ten o pracy dzieci w Tajlandii. - Zerknęła na niego. - Przypominał mi ciebie. Wrażliwy. Kiedyś tak mówiłeś.

- Ja? - Patrzył na nią zdumiony.

- No wiesz, z wierzchu udawałeś twardziela. Ale w głębi byłeś... - Wzruszyła ramionami. - Miły.

- Musisz myśleć o kimś innym. Ja jestem po prostu bezwzględnym reporterem polującym na sukces.

- Nie sądzę. Nie zawsze się z tobą zgadzałam, ale... - Nalała do kubków wody z czajnika. - Podobało mi się, jak mówisz.

A jemu podobało się, jak ona się uśmiecha. Sięgnął po swój kubek. Ich palce zetknęły się. Jakby piorun w niego strzelił. Powoli odsunęła rękę i zajęła się własnym kubkiem.

- Dlaczego więc wróciłeś? - zapytała.

Daniel zacisnął palce na kubku. Kiedy stała tak blisko, ciężko mu było przypomnieć sobie, dlaczego właściwie wrócił. W ogóle trudno mu było przypomnieć sobie cokolwiek.

- Nieważne - orzekła w końcu i odwróciła się energicznie. - Dobrze zrobiłeś. - Rzuciła mu uśmiech przez ramię. - Tak. Niedługo wszystko ci się wyklaruje. Już wyglądasz lepiej.

- Nie jestem pewien, czy uznać to za komplement.

- Jak chcesz - roześmiała się. - Chodziło mi tylko o to, że... Oakes dobrze działa na zbolące dusze. Niedługo się odnajdziesz.

- A jestem zagubiony, Sorenson?

- Tak - odpowiedziała po prostu. - Myślę, że jesteś.

- No, to kto mnie odnajdzie?

- A chcesz, żeby cię odnaleźć?

- Myślałem, że nie. Teraz nie jestem taki pewien - odparł i, mimo iż zdrowy rozsądek mu to odradzał, musnął palcami jej policzek dokładnie tam, gdzie czasami pojawiał się dołeczek.

- Ja... chciałam ci podziękować za pomoc. - Niespokojnie machnęła ręką w stronę sali operacyjnej. - Z Przybłądą. I zastanawiałam się, czy może chciałbyś zająć się tym na stałe - zaproponowała pośpiesznie. - To znaczy... na jakiś czas.

Na stałe. Z Jesiką.

- Jesteś taki delikatny... to znaczy dla zwierząt i pomyślałam...

Musnął palcami drobne ucho. Jej powieki zatrzepotały, ale zaraz nabrała powietrza i ciągnęła dalej.

- Myślałam, że może zamieszkałbyś tu za darmo...

- Zamieszkać z tobą... - szepnął i przesunął rękę, by pogłodzić jej włosy, miękkie jak futro kociaka. - Tutaj? Za darmo?

- Tak - odparła.

Jej głos drżał, a on przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, jakie zadał pytanie. Przez chwilę wydawało się, że pytał o coś dużo bardziej intymnego.

- Oczywiście nie mogłabym ci dużo płacić.

Jej skóra była ciepła niczym promienie słońca. Kiedy ucałował kącik jej ust, poczuł, że drży. A może to on zadrżał.

- Ale to byłoby... - zawahała się, oddychając z trudem - uczciwe zajęcie.

Pocałował jej dolną wargę, pełną, wilgotną i bardzo kuszącą.

- Oczywiście to ciężka praca.

Rzeczywiście ciężko mu było zachować kontrolę nad sobą. Położył dłoń na jej karku, przyciągając ją bliżej. Troszeczkę odchyliła głowę, odsłaniając długi łuk szyi. Pocałował ją tam.

- Ale nie byłbyś... - Znowu urwała. Jej powieki opadły, a usta rozchyliły się odrobinę. - Głodny.

Ale on był głodny i spragniony jej smaku. Jednak działał powoli, przesuwając się wzdłuż jej szyi do maleńkiego zagłębienia koło obojczyka. To było idealne miejsce na pocałunek.

Ugięły się pod nią nogi, więc objął ją w talii, by podtrzymać.

- Chcę się z tobą kochać. - Przytulił ją mocno i pocałował w usta. Pożądanie ogarnęło go nagle niczym płomień.

Na chwilę zastygła w jego ramionach, po czym zaczęła oddawać mu pocałunki.

Jego palce drżały na guzikach jej bluzki. Jej palce także znalazły się na guzikach jego koszuli, pośpiesznie uwalniając je z dziurek.

Nie było czasu na pytania, zdrowy rozsądek i rozmyślenia. Musiał koniecznie poczuć dotyk jej skóry, poczuć oszłamiającą słodycz jej warg i...

Drzwi do domu otworzyły się z hukiem.

- Jess!

- Komar! - pisnęła i odsunęła się od Daniela, pośpiesznie zapinając dwa odpięte guziki. On stał bez ruchu, w koszuli rozpiętej do pasa. - Przepraszam... ja tylko... - Oddychała szybko i gwałtownie, a jej oczy były wielkie jak gwiazdy, jej malinowe wargi... Malinowe! O właśnie! I były w tej chwili rozchylone. - Komar przyszedł.

Zdołał skinać głową i zaraz potem, wbrew własnej woli i najlepszym zamiarom, pochylił się i znowu ją pocałował. Ich usta spotkały się na króciutką chwilę, a potem ona uskoczyła gwałtownie, oblizując przy tym wargi.

- MacCormick... - mruknęła ochryple. - Muszę... - Wykonała niejasny gest w stronę lodówki. - Muszę już iść.

Znowu skinał głową. Mógł myśleć tylko o tym, jak piękne i pełne obietnic są jej wargi.

- Później... - Musnął kciukiem jej wargi. Zadrzały pod jego dotykiem. - Przyjdiesz na górę?

- Ja nie...

Nie mógł jej się oprzeć. Była zbyt kusząca, pociągająca, była zbyt blisko. Pocałował ją, bo nic innego nie mógł zrobić.

- Tak - odparła, kiedy w holu rozległy się kroki Komara.

Daniel odsunął się od niej i siłą woli zmusił się do wejścia na schody.

Jessie zdążyła jeszcze się zapiąć, zanim Komar wszedł do kuchni. A zanim zdążył wyjść, przybyła Greta.

- Greto, staraj się za bardzo nie martwić - powiedziała Jesika, zerkając w stronę schodów.

Od wyjścia MacCormicka upłynęła prawie godzina. Usiłowała przypomnieć sobie, że to właśnie było jej życie - zwierzęta, medycyna, mieszkańcy miasteczka. Po to właśnie tak ciężko pracowała. Nie miała czasu na nic innego. A już zwłaszcza na wielkowiejskiego światowca.

- Przybłęda jest silna, a szczeniaki wyglądają na zdrowe - ciągnęła. - Tylko nie pozwól, żeby pozrywała sobie szwy. Trzymaj maleństwa w cieple i pilnuj, żeby ssały.

- Nie potrzebują innego jedzenia?

- Nie, przez najbliższe kilka tygodni.

- A Przybłęda? - Greta ani na chwilę nie przestawała głaskać swojej suczki. - Czy trzeba jej czegoś specjalnego?

Jesika zajęła się szczegółami. Te wszystkie pytania pozwalały skoncentrować się na czymś. W końcu Greta wyszła na ganek, niosąc pudło z pieskami. Jessie wyszła za nią z torbą pigułek i olejków, które przepisała.

- Pamiętaj, żeby trzymać je w cieple - przypomniała, otwierając Grecie drzwi samochodu. - I sprawdź pępowiny. Uważaj, żeby Przybłęda ich nie gryzła.

- Będę uważać - zapewniła Greta, starannie układając pudło na przednim siedzeniu. - Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła Jesika i z lekką paniką stwierdziła, że skończyły się jej zalecenia.

Samochód Grety ruszył z hałasem.

Po drugiej stronie ulicy zaszczekał owczarek Lomana. Odetchnęła głęboko. Była dziwnie roztrzęsiona.



MacCormick czekał na nią na górze. MacCormick! No właśnie. Zwariowała.

Zagryzła wargę i z niepokojem spojrzała w stronę domu. Mógł ją obserwować nawet w tej chwili, z ciemnego okna na piętrze. Pobiegnęła w dół ulicy Wiązowej.

Nad rzeką kumkały żaby i co chwila coś chlupotało. Panował całkowity spokój, ale w jej głowie huczało.

Co się z nią właściwie działo? Zaproponowała pracę Danielowi MacCormickowi.

MacCormickowi! Nienawidziła MacCormicka! Prawda? I jeszcze darmowe mieszkanie! Potrzebowała tych pieniędzy. A poza tym na pewno - na pewno! - nie chciała, żeby się tu kręcił. Ostatnie, czego potrzebowała, to mężczyzna, który by wszystko komplikował.

A potem on ją pocałował i... Kolana się pod nią ugięły na samo wspomnienie. Jak mogła być taka głupia? Nie powinna mu na to pozwolić. I nie powinna sama go całować. A co do usiłowań zdjęcia mu koszuli... absolutnie wykluczone. Pewnie pomyślał, że jest zdesperowaną...

„Ladacznicą? - podsunęła panna Fritz.”

„Żadną ladacznicą!” - warknęła Jesika.

Ale on pewnie nie wiedział, że nikt jej nie całował od... - zastanowiła się przez chwilę - siedemnastu miesięcy i dwóch dni.

Może całowanie go to najlepszy sposób, by się go pozbyć. Nie licząc seksu. Seks to już pewniak.

Na Briana podziałał natychmiast. Po tych wszystkich latach „szanowania się” myślała, że będzie to bardziej wyjątkowe. Ale Brian nie dbał dość ani o nią, ani o jej dziewictwo.

Ale może MacCormick...

MacCormick? Omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Zdecydowanie traciła rozum. To było jedyne możliwe wyjaśnienie.

Daniel po raz setny przemierzał pokój. Teraz znał prawdę. Oszalał. Niewątpliwie. Może nawet był niebezpieczny dla otoczenia.

Co się z nim właściwie działo? Pocałował Sorenson! Nienawidził Sorenson. Nienawidził tego miasta. Nienawidził tego domu i tej zakurzonej ulicy i tego... Wyjrzał przez okno. Księżyc rzucał perłowe światło na dwa ogromne, senne konie. Przez otwarte okno słyszał spokojne kumkania żab.

Gdzie się podziała Jesika? Musi z nią porozmawiać. Wyjaśnić wszystko. Powiedzieć jej, że odzyskał rozum.

Wcale go nie interesowała. Była zbyt staroświecka, i ten jej kretyński entuzjazm i optymizm.

Ale kiedy się uśmiechała... Nie jest w twoim typie, upomniał się ostro. Absolutnie nie. Jest przecież tak zauroczona tym głupim małym miasteczkiem, że nie ma mowy, by on mógł się nią zainteresować.

Ale mimo to jej skóra była miękka, jak...

Zaproponowała mu pracę. Jemu! Danielowi MacCormickowi, zdobywcy nagrody Pulitzera. Głupią robotę jakiegoś tam asystenta. To idiotyczne. Nie, po prostu nienormalne.

Ale jej szyja była taka miękka, jej uśmiech tak zniewalający, a kiedy patrzył, jak jej smukłe, zręczne dłonie uspokajają tę bezwartościową włochatą kulkę...

Ani przez chwilę nie rozważał przyjęcia jej propozycji. Pracować z nią! Spędzać całe godziny w jej towarzystwie! Słuchać jej opowieści, patrzeć, jak się rusza, dotykać czasami jej dłoni. A może nawet, w odpowiedniej chwili, w półmroku, pocałowałby ją, poczułby tę przemożną...

Cały ten pomysł był szalony! I... i to właśnie zaraz jej powie. Daniel ruszył energicznie w stronę drzwi, otworzył je gwałtownie i wyszedł do holu w tej samej chwili, co Jesika.

- MacCormick. - Jej oczy wydawały się niezwykle ogromne w tej twarzy o kształcie serca. - Ja tylko... Ja... zastanawiałam się nad swoją... propozycją.

Propozycją? Jaka propozycją? Czyżby usiłowała go uwieść, a jeśli tak, to dlaczego miała na sobie tyle ubrania?

- Żebyś ewentualnie u mnie pracował.

Ach, tak. O tę propozycję chodziło, pomyślał mętnie i odkrył, że widzi, jak szybko bije jej puls w tym maleńkim zagłębieniu. Boże, jakie to podniecające.

- Byłbyś znakomitym asystentem. Jestem pewna. Ale nie wiem, czy możemy razem pracować...

Obserwował ruch jej warg i podświadomie musiał słyszeć jej słowa. Razem pracować, razem mieszkać, dotykać... Tak.

- To na pewno by nie wyszło.

- Co? - zapytał, przytomniejąc.

- Na pewno mnie rozumiesz. To był idiotyczny pomysł.

- Idiotyczny? - Postąpił krok w jej stronę. Cofnęła się o krok i skrzywiła się.

- No pewnie. Nie jesteś miłośnikiem zwierząt, jesteś...

- No, czym?

- No, nie wiem... reporterem.

- Czyli twoim zdaniem nie poradziłbym sobie?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale tak myślisz. Uważasz, że jestem jakimś reporterem bez serca, który myśli tylko o sobie.

- Sam mi tak powiedziałeś.

- No tak - prychnął. - A od kiedy mnie słuchasz?

- Ja... słucham - powiedziała zdenerwowana. - Ale to by się nie udało. No, ja... tak naprawdę nie stać mnie na to, by ci płacić. I tak ledwo wiązę koniec z końcem, i... nie jest tak, że nie poradziłabym sobie bez twojego czynszu, ale...

- Czynsz! - Jak to się stało, że wcześniej tego nie dostrzegł? Skupił się na jej uśmiechu, oczach i tej pulsującej żyłce na szyi. Jak każdy inny facet w

Oakes. Całkiem jak Moskit i Bill, i pastor Jakmutam, i... - Płacę czynsz Cecilowi, nie tobie.

Patrzył, jak przełyka ślinę, mruga i krzywi się, jakby wydał się jakiś okropny sekret.

- Co u licha... - Opanował się z trudem. - Dlaczego ty dostajesz pieniądze z czynszu, skoro on jest właścicielem domu?

- On tylko... ja tylko... - zaczęła, po czym wyprostowała smukłe plecy i zacisnęła te swoje idiotycznie różowe wargi. - Już ci mówiłam, że jest hojny!

- Akurat! - MacCormick roześmiał się chrapliwie.

Cecil. Wujek Cecil. Marudny, samolubny, skąpy. A jednak zrezygnował z możliwości sprzedania tego domu, żeby ta śliczna wariatka mogła tu mieszkać za darmo. I dostawała pieniądze za czynsz Daniela. I wybudował stodołę. Wybudował tę stodołę dla niej, dał jej dom, dał jej pieniądze za czynsz. Dlaczego?

W Danielu rozbudził się instynkt dziennikarski. Mógł być tylko jeden powód, dla którego taki skąpy stary drań jak Cecil MacCormick chciałby wyświadczyć tyle przysług młodej kobiecie.

Na chwilę ogarnęła go wściekłość. Sama myśl o tym, że stary miałby jej dotykać, wywoływała w nim mdłości, chęć do wymiotów i szaloną zazdr...

Nie. Żadnej zazdrości. Oczywiście, że nie był zazdrosny. Przecież to idealna sytuacja. Idealna dla Alyshy. Owoc kazirodztwa. A teraz składa jej propozycje... jej wuj? Jej pastor?

To właśnie jest to! Sorenson będzie wzorem dla Alyshy. No, może Sorenson jest trochę ładniejsza. Ale obie mają takie same paskudne sekreciki. Właśnie tak. Musi tylko poznać prawdę. A jak lepiej to zrobić, niż prosto u źródła?

- Biorę tę robotę - oznajmił.

## *ROZDZIAŁ ÓSMY*

- McCormick!

Serbowie! Daniel gwałtownie usiadł na łóżku z szeroko otwartymi oczami i bijącym sercem. Gdzie on właściwie jest? Kaszmir? Nigeria? Bratysława?

- McCormick! Chodźmy.

- Chodźmy? - Spróbował warknąć, ale zabrzmiało to raczej jak przedśmiertny jęk.

- Tak. Dzwonił Cap Fisher. Ma krowę z wypadniętą macicą. No, pośpiesz się. Nie mamy za dużo czasu - oznajmiła i zamknęła za sobą drzwi.

Daniel zerknął za okno. Na zewnątrz było ciemno jak w kałamarzu. Zwariowała, wydedukował i położył się, ale potem usłyszał zew swojej wielkiej powieści.

Przyjechał tu w konkretnym celu. Nie tylko po to, by odnaleźć swoją muzę, jak myślał, ale też, by zbliżyć się do Alyshy. I proszę, oto znalazł jej prototyp. Wystarczyło teraz, by pochodził za Jesiką, porobił notatki, odkrył jej brzydkie sekrety i ujawnił je w swoim bestsellerze.

Tak, efekt będzie na pewno wart tej ceny.

Świat za szybą samochodu był ciemny jak w najgorszych koszmarach, ale przynajmniej Daniel nareszcie oprzytomniał.

Skulił się w fotelu pasażera. Co za miejsce, całkiem jak Sahara. W dzień gorąco jak w piekle, w nocy zimno jak na biegunie. Żałował, że nie wziął kurtki. Żałował, że jest za dumny, by owinać się kocem zarzuconym na oparcia. Żałował, że w ogóle tu przyjechał. Że ona wygląda tak piekielnie rześko. Nienawidził rzeźkości.

- Co to jest, do cholery, wypadnięta macica? - mruknął.

- Nie chcesz wiedzieć - zapewniła.

- Boisz się, że zemdleję? - Prychnął pogardliwie.

- Możesz.

- To dlaczego zaproponowałaś mi pracę?

- Ach. - Niespokojnie przeniosła wzrok z powrotem na drogę. - Było mi ciębie żal.

- Naprawdę jesteś zabawna, Sorenson. - Zaśmiał się z przymusem. - To muszę ci przyznać.

- No cóż... - Zjechała na podjazd i zaparkowała koło płotu. Silnik umilkł z wyraźnym jękiem. - Jeszcze nic nie widziałeś.

Miała rację. Daniel był przekonany, iż widział już wszystko. Jednak krowa, ułożona wygodnie na boku i przeżuwiająca z zadowoleniem, podczas gdy z tyłu wystawała jej ta krwawa masa... czegoś takiego jeszcze nie widział.

- Dzień dobry, Jess - odezwał się starszy pan, stojący obok krowy.

Był niewysoki i pomarszczony i nie wydawał się bardziej przejęty stanem zwierzęcia niż sama krowa.

- Dzień dobry, Cap.

- Przepraszam, że ściągam cię z łóżka o tej porze. Ale doktor Barker wyjechał.

- Na tym polega moja praca - uśmiechnęła się Jesika.

- Wiem, ale... - Pokręcił głową. - No bo... - Przystąpił z jednej obutej w kalosz stopy na drugą. - Wydaje mi się, że jeszcze wczoraj latałaś w pieluchach.

Roześmiała się i metodycznie zaczęła zawijać rękawy dzinsowej koszuli.

- Od jak dawna jest w takim stanie?

Znowu pokręcił głową, tym razem z żalną miną. W oborze panował półmrok, a słoma pod ich stopami na pewno nie spełniała podstawowych warunków higienicznych.

- Nie wiem dokładnie. Byłem w Fairfield, mój wnuk miał mecz. Znalazłem ją w takim stanie. Ale cielak jest suchy. - Ruchem głowy wskazał mniejszą wersję krowy, zwiniętą obok matki. - Musiało minąć kilka godzin. Szkoda, że nie ma doktora.

Jeśli Jesika poczuła się urażona, nie dała tego po sobie poznać. Roześmiała się i wbiła igłę w gumową zatyczkę szklanej buteleczki. Zerknęła na pozostałe przeżuujące zwierzaki, które pomrukiwały i wzdychały w półmroku.

- Zrobisz coś z tym? - zapytał Daniel.

- Zaraz - odparła. - Cap, można ją unieruchomić?

- Nie bardzo. Moje krowy są jak szczeniaki. Nie trzeba mi takich urządzeń. Ale można ją przywiązać do tamtego żłobu. Wepchnąć ją do kąta.

- Dobra. Podnieś ją, MacCormick. Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- I nie zdenerwuj jej - dodała. - Bo ty będziesz musiał ją utrzymać, kiedy będę to wpychać z powrotem.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Jesika.

- Pewnie - odparł, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. - Czuję się świetnie. A jak miałbym się czuć? - Wyciągnął lewe ramię, zastanawiając się, czy jego nogi przestaną kiedyś drżeć. - To tylko krowa. Jak ciężka może być?

Roześmiała się. Nienawidził śmiechu.

- Przepraszam, ale było bardzo ważne, żeby stała na nogach.

- To może nie powinnaś była wlewać w nią litrów środków uspokajających.

- Tylko dziesięć jednostek - zaprotestowała i wpatrzyła się w drogę. Było nadal ciemno, ale niebo na wschodzie zaczęło już jaśnieć. - Może następnym razem powinnam wziąć osiem jednostek. Zaklął.

- No więc... - Znowu była wesolutka. Miał wrażenie, że jego ramiona przepuszczono przez wyżymaczkę. - Jak ci się podoba posada asystenta weterynarza?

A może by ją udusić, powoli, rozkoszując się... Marzenia przerwał trzask odbiornika radiowego.

- Jess?

Wzięła mikrofon i wcisnęła jakiś guzik.

- Babcia? Czy ze Złotkiem wszystko w porządku?

- Tak, nic mu nie jest. Chyba po południu Betty będzie go mogła wreszcie zabrać, co?

- Jeśli poziom cukru pozostanie w normie. Jak na razie wszystko wygląda jak najlepiej.

- I dzięki Bogu. Biednej Betty nie trzeba więcej kłopotów. Wiesz, że teraz uważa cię za cudotwórczynię.

- Nie musiałaś wstawać tak wcześnie, żeby mi o tym powiedzieć - uśmiechnęła się Jessie.

- Nie wymądrzaj się. Stanton dzwonił.

- O nie.

- O tak. Jeden z koni ma kolkę.

- I pewnie jeszcze nie nawykły do uprzęży?

- Pewnie nie. Znasz Lenny'ego. Mam przyjechać pomóc?

- Nie, babciu, dzięki. Wracaj do łóżka. - Potem zwróciła się ze swoim słonecznym uśmiechem do Daniela. - MacCormick mi pomoże. Świetnie sobie radzi z dzikimi ogierami.

Bolał go każdy miesiąc. Każda kość trzeszczała. Każde ścięgno drżało. Był wykończony. Śmierdział i był gotów popełnić poważne przestępstwo za powąchanie niedopałka papierosa. A to wszystko zaledwie po pierwszym dniu pracy.

Z trudem dowlókł się do swojej sypialni. Nie da jej się pokonać. Uważnie słuchał każdego słowa i zbierał dane. Dane, które teraz należy zapisać, przemyśleć i zinterpretować.

Na chwiejnych nogach wszedł do pokoju i zerknął na łóżko. Nie, jeszcze nie może paść. Najpierw weźmie prysznic, potem porobi notatki. Może tego właśnie było mu trzeba - usiąść w łóżku z notatnikiem. Jak w dzieciństwie.

Postanowił to właśnie zrobić. Chwycił z biurka notatnik i z jękiem opadł na łóżko.

- Rany. MacCormick, śpisz jak kamień.



Zobaczył przed sobą lekko zadarty nos Jesiki Sorenson.

- Co ty, do cholery, robisz w moim pokoju?

- Bałam się, że może umarłeś. Postanowiłam sprawdzić.

- I co? - Podniósł jedną nogę i z opóźnieniem uświadomił sobie, że od wczoraj nie zdjął ubrania. Było prawie tak sztywne, jak jego mięśnie. - Ustaliłaś już, czy umarłem?

- Żyjesz, żyjesz. Tylko cuchniesz jak trup. Jesteś głodny?

Usiłował zaprzeczyć, ale nie mógł się zdobyć na tak wielkie kłamstwo. Zwłaszcza że jego żołądek skręcał się z głodu.

- Chyba mógłbym coś zjeść.

- To schodź zaraz - odparła i odwróciła się. Spojrzała na niego wymownie. - Ale najpierw weź prysznic.

Piętnaście minut później zjawił się w kuchni, boso i z mokrymi włosami. Jesika siedziała przy stole tyłem do niego, zagłębiona po uszy w czasopiśmie.

- To kawa? - mruknął, patrząc na jej kubek. Podskoczyła, prawie rozlewając przy tym napój.

- Nie! To znaczy... Myślałam, że może spróbuję. Upewnię się, czy dobrze zrobiłam.

- Jesteś uzależniona od kofeiny, Sorenson?

- Nie. Oczywiście, że nie. Ja tylko... - Zerwała się i wylała kawę do zlewu.

- Trzeba wyczyścić klatki i stodołę, a Bill przywozi siano - zawiadomiła go i wyszła.

Godzinę później Daniel wyciągnął z klatki mokrą wyściółkę i z tęsknotą wspomniął ten okres swojego życia, kiedy pisywał do gazet, a nie wykladał nimi klatki. Ale najwyraźniej został skazany na pracę fizyczną, dopóki nie udowodni swoich pisarskich umiejętności.

- Pośpiesz się - pogoniła go Jesika.

Daniel podniósł wzrok, szykując ostrą odpowiedź, która jednak jakoś nie przyszła mu do głowy. Jessie stała w drzwiach. I wcale nie była do siebie

podobna. Zniknęły wytarte džinsy, bluzka bez rękawów. Miała na sobie spódniczkę w kwiatki, falującą wokół jej obnażonych nóg. Jedwabną lawendową bluzkę gładko wsuniętą pod pasek. Na smukłym nadgarstku miała trzy srebrne bransoletki. Nawet jej oczy zmieniły się, podkreślone delikatnie szarym cieniem. Usta nie zmieniły barwy, ale zostały polakierowane czymś błyszczącym.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Jakby zeszła ze stron czasopisma poświęconego modzie. Cholera jasna, łatwiej było ją nienawidzić, nie widząc jej.

Odchrząknęła i poruszyła się niespokojnie.

- Bill powinien za jakąś godzinę przywieźć siano. Dasz sobie radę, prawda? To znaczy... - Nerwowo machnęła opaloną ręką. - To tylko kilkaset bel, ale jeśli potrzebujesz pomocy...

- Nie - odparł.

Zdziwił się, że zdołał z siebie wydusić chociaż jedno słowo. Wszystko go bolało. Jak ona śmie tak sobie stać i wyglądać świeżo, pogodnie i pięknie. Chociaż wcale nie była w jego typie. Ale właściwie dlaczego miałyby nie wyglądać pięknie, pomyślał, usiłując poprawić sobie samopoczucie. To on podpierał trzysta kilo krowy i zmagał się z rozhukanym ogierem, a ona bawiła się w lekarza.

- Nic mi nie będzie. Gdzie idziesz? - zapytał. Miał zamiar zamaskować to pytanie, ale zmęczenie pozbawiło go zwykłej samodyscypliny. - Żebyśmy mogli cię znaleźć w razie nagłych wypadków.

Odchrząknęła i uniosła brodę. Czyżby poczucie winy?

- Mam spotkanie. Babcia popilnuje pacjentów, a poza tym wrócił doktor Barker, więc może się zająć nagłymi wypadkami.

- Spotkanie z kim?

W zasadzie było mu to obojętne. Ale wyglądała tak kobieco, kiedy delikatna materia lśniła i falowała na kształtach jej smukłego ciała. Nienawidził smukłych ciał.

- To... zjazd weterynarzy.

- Tak? - zapytał, z wystudiowaną niedbałością opierając się o klatkę.

Oczywiście, wcale go nie obchodziło, dokąd się wybiera. Ale przecież nie ubrałyby się tak dla sali pełnej zasuszonych profesorków.

Pod falującym rąbkiem spódnicy dostrzegł delikatną bransoletkę okalającą opaloną kostkę, a spomiędzy pasków jej lekkich sandałów złociste gwiazdki mrugały na niego z lawendowych paznokci u nóg. Przeszedł do następnej klatki.

- No to... - Trudno, praca będzie musiała zastąpić papierosa. - Na kim usiłujesz zrobić wrażenie, Sorenson?

- Co takiego?

Machnął ręką w jej stronę, starannie ignorując uczucia wzbierające w sercu.

- Co się stało z tą koszulą z uciętymi rękawami?

- Aaa. - Spojrzała na siebie, jakby zawstydzona - To poważny zjazd.

- Ach, tak. Wpadnie jakiś były kochanek?

Dostrzegł rumieniec na jej policzkach. Obudziła się w nim złość. Zacisnęła zęby z wystudiowanym uśmiechem.

- Ktoś, kogo znałaś na studiach?

- Tylko nie zalegaj z robotą - powiedziała tylko i odwróciła się.

Skończył z klatkami, wyszorował podłogę w garażu, wyczyścił stajnię i, kiedy Bill dotarł z sianem, rozładował i ułożył wszystkie bele. Nie było to przyjemne zadanie. Znowu zapomniał włożyć rękawice. Ale co tam! Ból nie dawał mu myśleć o Jess - to znaczy o papierosach!

Naprawdę nie widział żadnego powodu, dla którego nie miałby zapalić. Przecież jej tu nie było. Ale powiedział, że rzucił, a gdyby nie wytrzymał, mogłaby pomyśleć...

Nie obchodzi cię, co ona sobie myśli, napomniał surowo siebie i zabrał się do pracy. W końcu, wyczerpany, spocony i zeszywniały dowlókl się do domu i pod prysznic. Strumienie ciepłej wody spływające po skórze to był istny raj.

- Danny! - Drzwi łazienki otworzyły się.

Zaklął, pośpiesznie chwytając ręcznik zawieszony na drzwiach kabiny. W kłębach pary pojawiła się babcia.

- Rany Chrystusa, myślałam, że utonąłeś - oświadczyła, rozglądając się po zaparowanej łazience. - Nic ci nie jest?

- Oczywiście, że nic!

- Hej, nie musisz zaraz tak się ciskać - oznajmiła i zwróciła się do wyjścia. - Ach, i... - obejrzała się. - ...kolacja gotowa. Zejdź na dół. Stroje wieczorowe nie obowiązują, ale może lepiej nałóż jakieś spodnie - zachichotała i wyszła.

Na kolację było takie jedzenie, z jakiego słynie Iowa - wieprzowina, tłuczone kartofle i kukurydza. Daniel ledwo to zauważył. Wcale nie dlatego, że martwił się o Sorenson.

- Ona często ma takie spotkania?

- Kto? - Wyglądała na zdziwioną, że w ogóle się odezwał.

- Pani wnuczka! - warknął.

Starsza pani spojrzała na niego, zaśmiała się, po czym odwróciła się bez słowa i wmaszerowała na schody. Obserwował to z niejakim zaskoczeniem. Po chwili położyła przed nim niewielką szklaną buteleczkę i woreczek suszonych ziół.

- Co to jest?

- Olejek rozmarynowy na bóle. Szkoda, że nie mam kanadyjskiego derenia, ale nigdzie nie mogłam go znaleźć. Jest znakomity na obolałe mięśnie.

Otworzył usta, by wyprzeć się bolących mięśni, ale uciszyła go wzrokiem i przeszła do opowiadania o ziołach.

- Tu masz różne rzeczy na palenie.

- To się pali?

- Nie, tego się nie pali. - Jego głupota wyraźnie ją denerwowała. - To pomaga rzucić palenie. Sama skorzystałam i już w ogóle nie brakuje mi papierosów. Prawie... - Oblizła wargi i spojrzała na kieszeń na jego piersi. - A gdzie twoje papierosy?

- Pani paliła? - Coś mu zaczęło świtać.

- No pewnie, że paliłam. Masz je w swoim pokoju?

- A kiedy pani rzuciła?

- Jakieś cztery lata temu. Lekarz się upierał, więc wynalazłam sobie lek. I działa, tylko że muszę go zamykać w pokoju, inaczej Oskar by zeżarł. To pewnie przez walerianę. - Nerwowo splatała palce. - Masz te pety w samochodzie?

Teraz wszystkie kawałki zaczęły do siebie pasować.

- Dlatego zapraszała mnie pani do pokoju.

- Pewnie... A co ty myślałeś? Że mam na ciebie chrapkę?

- Skądże znowu. Ja... - zaczął, ale przerwał mu wybuch nieopanowanego śmiechu.

- Prawdziwy z ciebie MacCormick - oznajmiła, ciągle chichocząc pod nosem. - Wam nie brakuje pewności siebie. O nie, nigdy wam nie brakowało. Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłam twojego wujka wystrojonego w mundur marynarski. Wyglądał jak posąg, a ja uważałam go za ósmy cud świata, ale potem wrócił i ożenił się... Tak, tak, jesteś idealnym MacCormickiem. Widać po oczach. Ale i tak pomogłeś mojej Jess. Trochę się odprężyła. Chciałabym tylko... - zaczęła, ale nagle odwróciła się sztywno.

- Co takiego? - zapytał.

- Nic - odparła, odkręcając wodę. Patrzył na jej wyprostowane plecy.

- Mam powiedzieć Jessie, że szukała pani papierosów?

Rzuciła mu groźne spojrzenie, ale w jej sprytnych starych oczach błysnęły tajemnicze iskiarki.

- Zjadłeś już? - zapytała, sięgając po jego talerz. - Chciałabym tylko, żeby Jess nie jeździła do Ames - powiedziała. - Już i tak spotkało ją tam dość kłopotów.

- Kłopotów? - Usiłował przypomnieć sobie, jak na podobną wiadomość zareagowałaby normalna, pełna współczucia osoba. - Mam nadzieję, że nie poważnego.

- Nie, jeśli nie uważasz zostawienia dziewczyny przed ołtarzem za coś poważnego. Luluś z piekła rodem.

Jesika Sorenson porzucona przed ołtarzem? Aż go zatkało.

- Kiedy to było?

- O, jeszcze przed urodzeniem...

Urodzeniem? Mało mu oczy nie wyskoczyły z orbit. Jesika urodziła dziecko? - zastanawiał się gorączkowo. Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, zadzwonił dzwonek do drzwi.

- O, dobry wieczór, wielbny.

- Witaj, Edno. Jak się czujesz w ten piękny letni wieczór?

- Nie najgorzej...

Rozmowa toczyła się dalej, ale Daniel nie wsłuchiwał się w ich słowa. Jessie miała dziecko?

- Nettie zrobiła trochę konfitur truskawkowych - mówił pastor. - Prosiła, żebym podrzucił. Jest Jesika?

Czyje dziecko? Kiedy? Ocknął się dopiero na trzask zamykanych drzwi. Zerwał się gwałtownie.

- Tak... - Zajął się swoją malinową herbatą, o której zdążył całkiem zapomnieć. - Pastor wydaje się dość sympatyczny, prawda? - zapytał.

- Pastor Tony? Tak, jest w porządku. Bardzo podziwia moją Jess.

Czyżby to było jego dziecko? Serce zaciążyło mu jak kamień, ale zdołał zachować spokojny głos.

- Chyba w ogóle lubią ją w Oakes. Bill, Komar, pastor. Nawet Cecil, zdaje się, bardzo ją podziwia i... - Daniel wymusił z siebie śmiech i wytrwale usiłował nawiązać przyjacielskie stosunki. - A wiadomo, że mój wuj nie należy do najprzyjaźniej usposobionych osób na świecie.

A niech to szlag! Jeśli to było dziecko Cecila, zabije tego starego... Nie, wcale go to nie obchodzi. Wcale, a wcale! To tylko zdobywanie informacji.

- Chciałem powiedzieć, że stary drań jest skąpy jak...

- Nie zawsze wszystko jest tak, jak się wydaje - powiedziała niespodziewanie babcia. - Czas do łóżka - oznajmiła, odwróciła się na pięcie i pomaszzerowała na górę.

„- Nie - szepnęła Alysha. - To niemożliwe. Nie mogę być w ciąży.

Ale prawda była równie pewna, jak droga Ziemi wokół Słońca..."

Jesika? Dziecko? To niemożliwe. Prawda?

Daniel rozmyślał, zgrzytał zębami i wpatrywał się w ścianę.

Gdzie ona się, u licha, podziała? Była z tym lalusiem, o którym wspominała babcia? Czy to lalusz był ojcem dziecka Jesiki?

Wstał z łóżka i zaczął chodzić po pokoju. Ze swojego okna widział, jak Perełka znowu zмага się z łańcuchem u bramy. Może czuła się schwyтана w pułapkę? Jak Jesika?

Czy czuła się schwyтана w pułapkę? To dlatego dzisiaj wyjechała? A skoro tak, to co robiła teraz i z kim to, u diabła, robiła?

Nastawił uszu. Wydało mu się, że słyszy, jak samochód zatrzymuje się, silnik gaśnie. Czyżby to była ona? Odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę drzwi, po czym stanął jak wryty.

Co mu się stało? Przecież nie dba o to, kiedy ona wraca do domu. Nic go to nie obchodzi.

Czyżby usłyszał trzask drzwi? Musi zachować spokój.

Alysha. Co z Alyszą, która próbuje uwolnić się z więzów małomiasteczkowej przeciętności? Rozpostrzeć skrzydła...

Czyżby o to chodziło? Czyżby Jesika starała się uciec? A skoro tak, to z kim miałyby uciekać?

Z okna w łazience było widać kawałek ulicy przed frontowymi drzwiami. Gdyby tam poszedł... Tylko żeby sprawdzić, czy już wróciła. Chociaż go to nie interesuje. Ale strasznie chciało mu się pić, a przecież trzeba uważać, by nie odwodnić organizmu.

W mgnieniu oka znalazł się w łazience. Jeśli wyciągnie szyję i przechyli się trochę w lewo, i przegnie się nad sedesem, o tak, to będzie widział podjazd.

Rzeczywiście stał tam samochód. Nie był to Silverado Jessie, ale zawsze jakiś samochód. Wydawało mu się, że w słabym świetle dostrzega dwie zwrócone do siebie głowy. Gwałtownie cofnął się od okna. Uderzył łydka o klapę sedesu, zaklął ze złością i pokuśtykał z powrotem do pokoju. Uznał, że książka powinna go wzywać, ale pozostała denerwująco cicha. Był zmęczony, wręcz wykończony, a odpoczynek to żaden wstyd. Potrzebował go, by odzyskać siły twórcze.

Odrzucił kapę i groźnie wpatrzył się w prześcieradło.

Może to wcale nie była Jesika. W słabym świetle niewiele było widać, no i oczywiście wcale go to nie obchodziło, ale... A niech to, zachciało mu się pić, więc wyruszył po kolejną szklankę wody. Ale nalewanie trwało, a samochód ciągle stał za oknem. Jeśli wyciągnie szyję i przechyli głowę...

Wcale nie chciał wiedzieć, czy to Jessie.

Przecież nawet jej nie lubił, co powtórzył sobie stanowczo, wracając do pokoju. Przechodząc koło okna, prawie nie zwrócił uwagi na kumkanie żab i machanie końskich ogonów.

Prześcieradła były przyjemnie chłodne. Sen. Tego właśnie mu trzeba, uznał, okrywając się kocami. Sen. Zmusił powieki do zamknięcia się i skupił się na odprężaniu.



W gabinecie Jessie bił zegar. Policzył uderzenia, uparcie nie otwierając oczu. Jedenaście. Była jedenasta, a ona jeszcze nie wróciła do domu.

Znowu zachciało mu się pić. Skopał przykrycie, wpadł do łazienki, nalał sobie szklanek wody i odsunął zasłonę.

Dwie głowy, wciąż zwrócone do siebie. Co ona tam, do diabła, robiła? I z kim to robiła?

Woda pociekła mu na brodę. Zasunął zasłonę i pomaszerował do pokoju. W żołądku mu chlupotało. Godzinę później znalazł się tam po raz piąty, pijąc wodę i wpatrując się ponuro w samochód na podjeździe.

A niech ją! Dopiero co wyleczył się z bezsenności, ale jak miał spać, kiedy... kiedy tak okropnie chciało mu się pić.

W żołądku mu znowu zachlupotało, a noc za oknem przestała wyglądać na spokojną.

Perelka stała przy bramie, obgryzając łańcuch i...

Czyż nie byłoby to okropne, gdyby się wydostała?

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Jesice troszeczkę kręciło się w głowie. No, może trochę więcej niż troszeczkę. Niech będzie, była dobrze wstawiona.

- Robi się późno - oznajmiła. - A ja mam jutro dużo zajęć. Brian siedział obok i obserwował ją w milczeniu.

Brian! Brian Tuttle - jej były narzeczony. Dowodziło to, że była pijana, ale nawet taki stan nie usprawiedliwiał jej całkowicie. Ile razy ten facet musiał ją rzucić, żeby wreszcie zmądrzała? Ale wyglądał tak przystojnie i wytwornie, kiedy rozmawiał z kolegami po fachu, a... ona miała słaby charakter i...

W jej głowie panna Fritz prychnęła z dezaprobatą.

„Kogo usiłujesz oszukać, panienko? Mnie czy siebie?”

Jessie zignorowała ją. Odkryła, że dużo łatwiej to zrobić po trzech koktajlach z wódką. Zadziwiająca.

- Dzięki za podwiezienie, Brian.

- Nie mogłem przecież pozwolić, żebyś sama prowadziła. Pamiętam, co się z tobą dzieje, kiedy sobie wypijesz - stwierdził, rzucając jej swój słynny uśmiech. - Wspaniale było cię zobaczyć.

Nawet w ciemnościach widziała, jak niebieskie są jego oczy, jak doskonale ostrzyżone jego piękne włosy.

- Tęskniłem za tobą, Jesiko.

Aż przestała oddychać z wrażenia On za nią tęsknił? Ile razy marzyła, żeby usłyszeć właśnie te słowa? A teraz, kiedy je usłyszała, poczuła się pochlebiona, zachwycona.

Panna Fritz prychnęła

- Mówisz tak dlatego, że przechodzisz teraz ciężki okres - stwierdziła i spuściła oczy. - Ale Kim wróci i wtedy...

- Prawda jest taka, że... - W jego głosie słychać było ból i napięcie. - Ja wcale nie chcę, żeby wracała, Jesiko.

Jessie wpatrywała się w niego. Tyle lat na to czekała Właściwie to dlatego postanowiła jechać na ten zjazd. Miała cichą nadzieję, że znowu go zdobędzie.

Panna Fritz odwróciła się z obrzydzeniem.

- Ona nie może równać się z tobą, Jesiko. - Brian mocniej ścisnął jej dłoń. - Nigdy ci nie dorównywała.

Kręciło jej się w głowie. Wpatrywała się w ich splecione ręce. Na kostkach jej dłoni był strupek, a jeden z paznokci nierówno złamany - stało się to, kiedy kastrowała żrebaka. Zauważyła, że jego paznokcie są idealne - równo przycięte i wypolerowane do połysku.

- Wcale tak nie myślisz, Brian - powiedziała.

- Nie - pokręcił głową. - Nie. Nawet kiedy między Kim i mną wszystko się układało... - Urwał. Jego oczy były niebieskie jak niebo, a głos dramatycznie

modulowany. - Nie mogłem przestać myśleć o tobie. - Przyłożył sobie jej dłoń do piersi. - O tym, jak nam było razem dobrze. - Przycisnął jej dłoń jeszcze mocniej i musnął wargami kostki. - Pamiętasz, jak pasowaliśmy do siebie? Pamiętasz tę noc w Des Moines?

Jej serce zabiło szybciej. Owszem, pamiętała tę noc w Des Moines. On był jedynym mężczyzną, z którym się kochała i jej ciało tego nie zapomniało. Nie zapomniało namiętności. Były to jedne z najpiękniejszych chwil w jej życiu. Czowała się piękna, potrzebna i uwielbiana

„Jesteś pijana jak portowa ladacznica” - wtrąciła panna Fritz.

Jessie aż zeszywniała, słysząc tę obrazę.

„Wcale nie jestem... No dobrze, jestem, ale czy to tak źle wypić sobie troszeczkę raz na sto lat? Wyrwać się z domu? Pozwolić, by nadskakiwał mi przystojny mężczyzna?”

„Porzucił cię” - przypomniała panna Fritz.

„Był młody”.

„Zostawił cię w chwili, kiedy potrzebowałam kogoś”.

„Ja tylko usiłuję się trochę zabawić”.

Panna Fritz uniosła podbródek i jedną brew z dezaprobatą.

- ...maitre d'hotel?

Uwaga Jessie przeniosła się z powrotem na Briana.

- Co takiego?

Na moment na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji, ale zaraz zastąpił go uśmiech.

- Pytałem, czy pamiętasz tego maitre d'hotel? - powtórzył, przysuwając się odrobinę.

- Nie, nie z nazwiska.

Brain patrzył jej w oczy. Wiedziała, że zawsze wolał dramat od szczerości. Mężczyźni tacy już są, przypomniała sobie, a panna Fritz zaśmiała się znacząco.

- Założę się, że on cię pamięta - mówił Brian. - Nie mógł oderwać od ciebie oczu. Całkiem jak ja... dziś wieczorem. Kiedy cię zobaczyłem... wszystko wróciło.

Czuła, jak jej serce bije szybciej. Nie miała złudzeń. Nie może mu ufać, ale i tak wywierał na niej wrażenie. Bo sobie też nie mogła ufać. Nie w kwestii mężczyzn. Godna zaufania była tylko w kieracie pracy, uważna, ostrożna.

„No nie, na litość boską! - rozzłościła się panna Fritz. - Dziewczyno, przejdź wreszcie do sedna sprawy”.

- Jesteś równie piękna jak wtedy, na pierwszych zajęciach z chemii.

A MacCormick nawet nie udawał, że uważa ją za piękną. Co on miał z tym wszystkim wspólnego?

„Przecież przez niego tu jesteś, głuptasie. Żeby udowodnić, że mężczyznom nie można ufać”.

- Nie - sprzeciwiła się Jessie.

- Co takiego?

- Nie, ja... - Fatalnie. Polemizowanie z panną Fritz na głos groziło, że osoby postronne uznają ją za wariatkę. - Nie - powtórzyła, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie, o czym on właściwie mówił. - Ja... nie jestem piękna.

- Za to skromna. - Wyglądał na zadowolonego z jej udawanej skromności.  
- Zawsze taka byłaś.

- Jesteś pijana - przypomniała jej panna Fritz. - Pijana i zachowujesz się głupio”.

- Zaprosiłem cię na przyjęcie w bractwie. - Uśmiechnął się i ucałował wnętrze jej dłoni. - Byłaś taka nieśmiała.

- Nie byłam... - Było to całkiem przyjemne, ale nie wywołało jakichś większych sensacji. Dziwne. - Nieśmiała.

- Nie. - Zrobił dramatycznie poważną minę, po czym pocałował jej nadgarstek, przedramię i wrażliwe wnętrze łokcia. - Czekalaś na właściwego mężczyznę.

„Tylko nie rób nic głupiego, młoda damo”.

„Cicho bądź! To nie ty żyjesz jak zakonnica, pracujesz od rana do nocy i masz wszystko na głowie. Dlaczego nie mogę się z nim przespać, jak mam ochotę? Może się zmienił”.

„ Jesteś pijana, a on to wykorzystuje. Czy wygląda na to, że się zmienił?”

„Pociągam go. On mnie też. Czy to takie straszne?”

„Pawia też może pociągać wróbel. To nie znaczy, że zaraz mają więc gniazdo”.

- Mój Boże! - wykrzyknął Brian. - Byłem głupcem, Jesiko. Głupcem, który pozwolił ci odejść, chociaż wiedział, jaki ma skarb. Daj mi jeszcze jedną szansę.

- Brian. - Prawie ją zatkało. - Wciąż jesteś żonaty.

- To skończone. - Pokręcił głową. - Zawsze wiedziałem, że ona nie umywa się do ciebie. To było tylko... szaleństwo. Kiedy uparłaś się wrócić do Oakes, byłem zdruzgotany. Wmawiałem sobie, że już nic do ciebie nie czuję. - Przynurzył się jeszcze bliżej. Przez cienki materiał spódnicy wyczuwała jego podniecenie. - Powiedz mi, że czujesz to samo. - Brian pochylił się do przodu z pełnym powagi wyrazem twarzy.

„Jesiko May Sorenson!” - ostrzegła panna Fritz.

„Zamknij się!”

Pannę Fritz aż zatkała

I Brian ją pocałował. Siedziała nieruchomo, namyślając się, oceniając. To nie był zły pocałunek. Ale nie było też żadne trzęsienie ziemi. Może jakby się skupiła...

Usłyszała po lewej jakiś hałas.

- To nic - jęknął Brian, przyciskając ją do siebie, ale w tej samej chwili zaszczeakał pies i rozległ się tupot kopyt.

- Konie! Wydostały się! - krzyknęła.

Wyrwała się z jego objęć, złapała torebkę i pobiegła w stronę domu.

- Co takiego? - zapytał Brian, ale jej już nie było. Rzuciła torebkę gdzieś na ganku i z hukiem otworzyła drzwi.

- Babciu! - wrzasnęła.

Odskoczyła w tył z piskiem, gdy w holu pojawił się MacCormick.

- Co się dzieje?

Jego ciemne włosy były zmierzwiłone, mina nadašana. Był absolutnym przeciwieństwem Briana.

- Konie się wydostały - wykrztusiła w końcu.

- Wezmę uzdy i ziarno. Powiedz babci...

- Słyszałam - odezwała się babcia.

Zbiegła po schodach w nocnej koszuli i przystanęła na chwilę, by rzucić wrogie spojrzenie Brianowi, który właśnie pojawił się w drzwiach.

Uśmiechnął się do niej.

- Pani Sorenson. Jessie mówiła, że czuje się pani lepiej. Tak się cieszę - oznajmił.

Wpatrywała się w niego dobre pięć sekund, zanim przeniosła wzrok na MacCormicka.

Stuwatowy uśmiech Briana nawet nie przygasł.

- My się chyba nie znamy - odezwał się, wyciągając rękę do Daniela. - Jestem Brian Tuttle Trzeci, a pan...

- ...właśnie idzie łapać konie - dokończył MacCormick i ominął go w drodze do drzwi.

Brian zmarszczył czoło, ale po chwili rozpogodził się i z determinacją zwrócił do Jesiki.

- Chodź ze mną - zarządził, sięgając po jej dłoń. - Pojedziemy za nimi moim autem.

- Samochód je tylko wystraszy - zaprotestowała babcia. Jesika zawahała się, obserwując plecy MacCormicka.

- Na pewno nic się nie stanie - nalegał Brian.

Panna Fritz nic nie mówiła, ale Jessie umiała rozpoznać lodowatą furję.

- Dzięki, Brian - oznajmiła stanowczo - ale możesz jechać. Poradzimy sobie. - Tak jak sobie radziła ze wszystkim.

- No, to pójdę z tobą i...

- Czy to na twój samochód sika pies? - zapytał z ganku MacCormick.

- Co? - Brian puścił jej dłoń i rzucił się do drzwi jak wystrzelony z katapulty.

Jesika poczuła słabe ukłucie żalu, ale zaraz odwróciła się i wybiegła przez drzwi kuchenne, by zebrać wszystko, co trzeba. W stodole panowała kompletna cisza.

- Pan Tuttle Trzeci jest bardzo przywiązany do swojego samochodu.

Jesika podskoczyła na głos MacCormicka.

- Myślałam, że jesteś na ganku.

- Bo byłem.

Skrzywiła się, chwyciła uzdy i niewielkie wiaderko ziarna.

- Jak konie się wydostały? Jestem pewna, że zamknęłam na łańcuch.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Nie wypuściłaś ich, żeby się pozbyć Trzeciego, co?

Przed domem silnik corvetty zawarczał i oddalił się. Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Nie bądź głupi. Trzymaj - poleciała i wepchnęła mu w objęcia uzdy. - Złapmy te konie, zanim ktoś pozwie nas do sądu.

Zza rogu wyjechała półciązarówka.

- Wsiadajcie - wrzasnęła babcia, otwierając drzwi.

Jessie i MacCormick wdrapali się do środka. Przez cienki materiał spódnicy czuła ciepło bijące od jego nogi.

- Myślałem, że to je wystraszy - mruknął MacCormick.

- Nie tak bardzo, jak lalusiowata buźka Tuttle'a.

Babcia nigdy nie wybaczyła Brianowi porzucenia Jessie. Szczekanie psów informowało ich o miejscu pobytu koni. Wcale nie było trudno je znaleźć. Zatrzymały się na polu po zachodniej stronie miasta i obserwowały spokojnie, jak babcia zatrzymuje auto.

- No dobrze, kochane, pobawiłyście się, a teraz wracamy do domu - oznajmiła.

Konie spokojnie pozwoliły założyć sobie uzdy. Jesika zrzuciła buty i wysiadła z samochodu.

- Wracajcie z MacCormickiem do domu - powiedziała. - Ja się nimi zajmę.

- W spódnicy? - sprzeciwiła się babcia. Rzadko pozwalała komuś innemu zajmować się swoimi bezcennymi perszeronami. Ale teraz zastanowiła się przez chwilę i orzekła: - Lepiej niech Danny ci pomoże.

Jesika patrzyła na nią ze zdumieniem.

- To moje biodro - wyjaśniła babcia. - Znowu szwankuje. I jestem w koszuli nocnej. Chcesz, żeby wszyscy zobaczyli, jak łączę po mieście w koszuli? Jessie wciąż patrzyła.

- No co, nie mam prawa odpocząć raz na jakiś czas?

- Pewnie. - MacCormick pojawił się nie wiadomo skąd i chwycił Siwka za uzdę. - Dostarczymy je bezpiecznie do domu.

Babcia patrzyła na niego, a na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Po chwili już jej nie było.

MacCormick stał blisko, Jessie czuła na sobie jego spojrzenie.

- No cóż... - Odchrząknęła i odwróciła się nerwowo. - Lepiej ruszajmy.

Przez chwilę nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w nią.

- Poranisz sobie stopy, jeśli będziesz szła całą drogę i to po ciemku - powiedział w końcu. - Podsadzę cię.

- Nie mogę jechać konno w spódnicy, kiedy... - zaczęła, ale on już przysunął się do niej.



- Boisz się, że nie będę mógł się opanować na widok twojej kostki? - zapytał.

- Nie, ale... - Zaśmiała się z przymusem.

Do domu rzeczywiście było daleko, ale jeśli pomoże jej wsiąść na konia, będzie musiał dotknąć jej nogi i... Porzuciła te myśli, złapała Perelkę za grzywę i ugięła nogę w kolanie. Jego dłoń owinęła się pewnie wokół jej kostki. Po chwili siedziała już na koniu, ale jego dłoń pozostała tam, gdzie była. Przyglądał się jej.

Prawda, Brian ją zostawił i MacCormick też to zrobi. Ale on przynajmniej był szczery. W takim razie, dlaczego nie miałyby go pocałować? Dlaczego nie... Ale on w tej samej chwili odsunął się od niej, przywiązał linę do uzdy Siwka i wskoczył mu na grzbiet, jakby dopiero wczoraj wyjechał ze wsi.

Jechali tak obok siebie, pozwalając, by cisza zalegała między nimi. Konie szły równym krokiem. Noga Jessie, obnażona do połowy uda, ocierała się o nogę Daniela.

- On nie jest cię wart.

- Co takiego? - Jego słowa zaskoczyły ją kompletnie.

- Tuttle Trzeci - wyjaśnił. - Nie jest cię wart.

Jej serce waliło jak szalone, gorączkowo usiłowała znaleźć jakąś odpowiedź.

- On jest bardzo bogaty.

- Może źle cię oceniłem - odpowiedział. - Uznałem, że pieniądze nie są dla ciebie szczególnie ważne.

Rozważała kłamstwo, powiedzenie mu, że są najważniejsze. Ale nigdy nie umiała dobrze kłamać i wątpiła, by to akurat bardzo się zmieniło po skonsumowaniu trzech koktajli z wódką.

- Ma kwitnącą praktykę w Des Moines.

- Ach, czyli tęsknisz za miastem.

Ple-ple-ple. Wiedział, że nie tęskniła za miastem. Ale nie mogła przecież powiedzieć mu, że w Brianie pociąga ją tylko to, że przypominał jej, jak wredni byli mężczyźni. W ten sposób mogła go wybić sobie z głowy. A niech to, panna Fritz znowu miała rację. Skrzywiła się.

- Ma świetny samochód.

- A ty kochasz szybką jazdę.

- Jego ojciec jest adwokatem.

- Mogło być gorzej. Mógłby być politykiem.

- Brian Tuttle to bardzo atrakcyjny mężczyzna. Wszystkie dziewczyny tak uważały.

- Tak, tak, zeznania świadków zawsze są bardzo pomocne - orzekł idiotycznie poważnym tonem.

Nie wytrzymała.

- No dobrze! Może byłam po prostu napalona! Nie pomyślałeś o tym?

Zapanowała absolutna cisza. Nawet żaby umilkły. Jesika zamknęła oczy i zastanawiała się, jak względnie inteligentna kobieta mogła powiedzieć coś tak kretyńskiego.

- Nie mogę się powołać na żadnych świadków - powiedział cicho. - Ale jeżeli tylko tego szukasz... - Urwał, przywołując na chwilę z powrotem ciszę. - Może nie miałbym nic przeciwko... - Kolejna przerwa. - Nawet coś więcej... pomóc ci.

Jego spokojne spojrzenie źle działało na jej wzburzone nerwy. Skierowała wzrok między uszy Perełki.

- Pomóc mi?

- Wiem, że nie mamy ze sobą dużo wspólnego, ale... - westchnął. - Nie jesteś taka znowu odrażająca, Sorenson.

Nie zdołała stłumić chichotu.

- Nie taka znowu odrażająca? Czyżbyś usiłował powiedzieć mi komplement, MacCormick?

- Cholera, sam nie wiem. Komplementy nigdy nie były moją mocną stroną.

- A co jest... twoją mocną stroną? - Roześmiała się.

- Chyba widzenie rzeczy takimi, jakie są naprawdę. - Wzruszył ramionami. - Dlatego jestem dobrym reporterem.

- Tak? A co widzisz tutaj? Teraz?

Rozejrzała się po skapanych w blasku księżyca łąkach opadających do rzeki. Jej rzeka, jej dom, jej kraina.

- Widzę, że jesteś dla niego za dobra. Znowu mu się przyjrzała.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Skrzywił się.

- To akurat nie był komplement

- Wiem. Inaczej na pewno byś go w jakiś sposób zepsuł.

Zaśmiał się. Był to cichy, przyjazny dźwięk. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jechali przed siebie cichymi ulicami.

Dotarcie do domu nie trwało długo. Jessie poczuła ukłucie żalu, ześlizgując się z szerokiego grzbietu Perełki. Wypuściła konie na pastwisko, zamknęła za nimi bramę i starannie zabezpieczyła ją łańcuchem. Potem odwróciła się do MacCormicka.

- Dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co.

Obeszła dom, przypomniawszy sobie o torebce na ganku.

- Mam nadzieję, że nie zostałeś wyrwany ze snu.

Nagle zrozumiała, że tak nie jest, że ma nadzieję, iż nie spał całą noc. Że stał w tej małej łazience i wyciągał szyję, usiłując dojrzeć, co ona tam robi. Ale wiedziała, że to niemożliwe.

- Nie - odparł. - Zawsze wstaję o północy i ganiam za końmi. To dobrze robi na krążenie.

- Naprawdę? To może specjalnie je wypuściłeś. - Roześmiała się, wchodząc na schodki. - Dziękuję jeszcze raz, MacCormick.

Zerknął tam, gdzie wcześniej stał samochód Briana.

- Co się stało z twoją furgonetką?

- Za dużo wypila - westchnęła, siadając na huśtawce na ganku. Uniósł brew. - Albo może ja. Na szczęście Brian powiedział, że mnie podwiezie.

- Rzeczywiście szczęście.

- MacCormick, gdybym nie była pewna, że to niemożliwe, myślałabym, że go nie lubisz.

- Ja? Nie lubię Tuttle'a Trzeciego? Skądże znowu.

- Ach. - Skinęła głową. - A więc nie chodzi tu o osobistą zemstę. Po prostu nie lubisz ludzi w ogólności.

- W zasadzie tak.

- W takim razie powinnam być dumna, że mnie tolerujesz.

- To nie jest łatwe. Cały ten twój radosny optymizm... - Udał, że przeszył go dreszcz. - To mnie wykańcza.

- Naprawdę?

- Tak. I... - Spojrzał na nią i urwał.

- I co?

- I jesteś taka... nie odrażająca, o czym już była mowa. To... rozprasza.

Patrzyła na niego.

- No co? - zapytał obronnym tonem.

- Zastanawiałam się, czy powiedzenie mi komplementu zabiłoby cię na miejscu.

- Nie mam pojęcia.

- Bo nigdy nie próbowałeś.

- Domagasz się komplementów, Sorenson?

- Zastanawiałam się tylko, czy to by cię zabiło.

Patrzył na nią w milczeniu, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

- Wiesz, że spędziłem miesiąc w Szwecji?

- Nie.

- I dwa w Islandii. I prawie tyle samo we Francji.

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego i zastanawiała się, do czego zmierza.

- Byłem w czternastu krajach Europy, dwudziestu Afryki i siedmiu Azji. - Urwał, wciąż ją obserwując. - Ale nigdzie nie spotkałem nikogo, kto czyniłby świat szczęśliwszym samym swoim istnieniem. Nikogo oprócz ciebie.

- Rany, MacCormick. - Nagle odkryła, że trudno jej wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo. - Kiedy już postanowiasz powiedzieć komuś komplement, to naprawdę idziesz na całość.

- Oszczędzałem sobie - powiedział.

- Ja... mm... - Spoglądała na swoje dłonie, nie wiedząc, co z nimi zrobić. - Naprawdę jest mi miło.

- I nawet nie musiałem się starać.

Jego wzrok był tak skupiony, a głos tak głęboki, że na chwilę zapomniała oddychać.

- Co usiłujesz zrobić?

- Oprzeć ci się?

- I jak ci idzie? - zapytała.

- Nieźle - odpowiedział w końcu i odetchnął głęboko.

- Tak. - Jej serce waliło jak szalone. - No, to równie dobrze możesz usiąść. Moglibyśmy... nie pociągać się wzajemnie. - Wzruszyła ramionami. - Porozmawiać o polityce czy czymś...

- O polityce. O trzeciej nad ranem?

Trochę jej się zakręciło w głowie, więc oparła ją o łańcuch.

- Czasami mam kłopoty ze snem.

- Ach. - Uśmiechnął się, ale oczy nadal patrzyły na nią z napięciem. - Na to właśnie czekałem. Ponure szczegóły twojej mrocznej przeszłości.

- Możesz się zdziwić.

- No, to mnie zdziw.

- Chyba nie. Zbyt się do tego palisz.  
- To prawda - potwierdził cicho.  
- MacCormick... Dlaczego tu jesteś? W Oakes?  
- Czy to ważne? - zapytał. Odwróciła wzrok.  
- Może chcę wiedzieć, jak długo zostaniesz.  
- A jak długo został Trzeci?  
- Co takiego? - Wstrzymała oddech.  
- Zachowywał się bardzo zaborczo. Myślałem, że może kiedyś coś między wami było.  
- Kto ci to powiedział?  
- Jestem reporterem, Sorenson. - Wzruszył ramionami. - Czego mi ludzie nie powiedzą, to sam wymyślam.

Odchrząknęła i znowu zapatrzyła się przed siebie. Wolałaby, żeby nie wiedział. Ale skoro wiedział, a ona była cokolwiek wstawiona, to może równie dobrze powiedzieć mu resztę.

- Byliśmy zaręczeni.  
- A od jak dawna jesteście odręczeni?

Uśmiechnęła się i znowu spojrzała na swoje dłonie.

- Jak długo zostaniesz, MacCormick?  
- A jak długo chciałabyś, żebym został?  
- Rany! Nic dziwnego, że ludzie nie znoszą reporterów.

Zaśmiał się. Popatrzyła na niego i poczuła przyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Zastanawiałam się, czy mógłbyś mnie pocałować.

Ani drgnął. Czyżby wstrzymywał oddech? Nie. Była głupia. MacCormick był wcieleniem spokoju.

- Dlaczego? - zapytał bardzo cicho.

Odchrząknęła, starając się wmówić sobie, że pocałunek miałby wartość porównawczą.

- Dla zabawy. No to co, zdecydowałaś się?

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Dlaczego?

Niecierpliwie machnął ręką. Zaciśnął zęby.

- Z powodów, których jeszcze nie wymyśliłem.

- Ale mówiłeś, że cię nie pociągam.

- Niezupełnie. A zresztą już cię całowałem.

- Ale to było... - Czuła się dziwnie. - Dawno temu.

- I tak nieważne, że już zapomniałaś?

Przyglądała mu się jakiś czas, po czym mimo sprzeciwu resztek zdrowego rozsądku, przysunęła się do niego.

- A ja mogę cię pocałować? - zapytała. Wymamrotał coś w odpowiedzi.

- Co?

- Mówiłem, że jesteś stuknięta, Sorenson, i pewnie pijana.

- I pewnie masz rację.

- No to... - zaczął, ale w tej samej chwili przyciągnęła go i pocałowała.

Jego pierś była pod jej palcami napięta. W mgnieniu oka otoczył ją ramionami i oddał pocałunek.

Przytuliła się do niego. Wsunęła rękę pod jego koszulę i poczuła, jak potężne mięśnie prężą się pod jej palcami. W mgnieniu oka była rozpalona i spragniona.

Ale on równie nagle przestał. Żadnych pocałunków, żadnych uścisków. Koniec.

- No, to jak wypadło porównanie? - zapytał z napięciem.

- Porównanie? - wymówiła z trudem, ogłupiała i zdezorientowana.

- Z Brianem Tuttle'em Trzecim.

- Och. Ja wcale... to nie było... - Urwała, wciąż oddychając ciężko. - Chcę się z tobą kochać - szepnęła.

„Jesiko May Sorenson!” „O, wróciłaś” - stwierdziła Jessie.

„Ale zaraz się ciebie wyrzeknę, jeśli się natychmiast nie uspokoisz”.  
„Uhm” - mruknęła niepewnie i dodała szeptem - miała nadzieję że zbyt cichym, by jej sumienie mogło go dosłyszeć:

- Jak myślisz, MacCormick?

Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim się odezwał. W końcu ostrożnie wstał z huśtawki.

- Nie wydaje mi się, żeby był to najlepszy pomysł, Sorenson. Ale mogłabyś...

- Co takiego?

- ...poprosić później, kiedy nie będziesz pijana - oznajmił, odwrócił się sztywno, wkroczył w otwarte drzwi i zniknął za nimi.

W ciszy, która nastąpiła, prychnęła panna Fritz. „No cóż - orzekła sucho - przynajmniej jeden z moich uczniów zachował jakieś zasady”.

## ***ROZDZIAŁ DZIESIĄTY***

Daniel położył dłoń w rękawiczce na beli siana. Było pewnie z pięćdziesiąt stopni w cieniu, którego to cienia zresztą nigdzie nie było, a on pracował nieprzerwanie przez kilka godzin i przez ten czas nie miał w ustach papierosa.

I, co gorsza, od czasu ucieczki koni Jesika starała się jak mogła, by nie spędzili nawet minuty sam na sam.

Był szalony. Trzeba było skorzystać z jej oferty. Ale ona była pijana, a on chciał czegoś więcej... O czym on myśli? W ogóle niczego od niej nie chciał! Ona to tylko... przedmiot badali.

- Powiedz mi jeszcze raz, dlaczego to robię - oznajmił, patrząc na nią ze stosu siana ułożonego na przyczepie.



- Już ci mówiłam. Larry to mój przyjaciel i jeszcze nie do końca wyzdrowiał po tej operacji kręgosłupa.

- Aha.

Spojrzał na Larry'ego, który był pulchnym panem w średnim wieku, a teraz wygodnie siedział w klimatyzowanej kabinie. Zdaniem Daniela wyglądał na zdrowego. A jemu słońce paliło plecy jak laser. Był zmęczony, oblaźły ze skóry i opalony. Nienawidził opalenizny.

- I pomagamy mu, dopóki nie wyzdrowieje.

- To wystarczy mała operacja i do końca życia będę miał spokój z sianem? - zapytał.

Nawet w swojej starej czapeczce i z liściem przyklejonym do spoconego nosa wyglądała... To nie ma znaczenia, czy jest śliczna, czy nie. Nie ma znaczenia, czy jej oczy są jak niebo o poranku, a wargi jak maliny. Ani to, że chodzi jak nimfa i wygląda jak anioł. Wcale nie była aniołem! Miała swoje brudne sekrety. Nie wolno mu o tym zapominać. Dlaczego, na przykład, zamiast pilnować swojej praktyki, spędza tyle czasu pocąc się na słońcu?

Mijał dzień za dniem. Czyścił stajnie, podnosił psy, przerzucał siano. Praca była ciężka, ale od dawna nie czuł się tak dobrze. Od początku miał rację. Oakes wcale nie było uroczym małym miasteczkiem, jak usiłowali wszystkim wmówić jego mieszkańcy. Było mroczne i tajemnicze, a ukrywały się tu ponure sekrety.

Nawet Jessie, która wydawała się taka słodka i niewinna, której pocałunki...

Gwałtownie przerwał te rozmyślenia. Nie będzie myślał o jej pocałunkach. Nie będzie sobie wyobrażał, jak by to było - rozbudzić ją pocałunkami i przesunąć dłońmi po tych cudownych kształtach.

Nie. Ona należała do jego powieści. Tej, która ma się stać bestsellerem. To wszystko. Nic więcej.

Ale czasami, kiedy myślała, że jej nie widzi, wydawała się taka zmęczona, taka samotna...

Czy ktoś pukał? Daniel nastawił uszu i, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszał ciche kroki w kuchni. Drzwi zaskrzypiały.

Usłyszał jej szept i zbliżył ucho do podłogi.

- ...twoja żona...

- ...odwiedza parafian... musimy się pośpieszyć. I to wszystko. W domu zapanowała cisza.

W Danielu narastała wściekłość. Z trudem pohamował się jednak.

Nie będzie się przejmował Jesiką Sorenson. Napisze swoją książkę, opuści to żalosne miasteczko i nigdy więcej nie zaszczyli jej myślą.

- Dokąd jedziemy? - Daniel usadowił się w fotelu obok kierowcy, a Jessie wyłączyła radio i wcisnęła gaz.

- Do pani Weaver. - Ostro wzięła zakręt.

- Niech no zgadnę. Nagły przypadek? - domyślił się.

Prawo Murphy'ego. Godzina siódma wieczorem po strasznie długim dniu. Oczywiście, że to nagły wypadek.

Nie odpowiedziała mu. Jej twarz była napięta i zaciskała ręce na kierownicy.

- Sorenson? Co się stało?

- Betty. To stara przyjaciółka babci. - Poruszyła się niespokojnie. Silnik zawył, ale chyba nawet nie zauważyła. - Jej stary terier ma cukrzycę.

- Aha. - Nie wiedział, że psy chorują na cukrzycę, ale jej mina nie zachęcała do zadawania głupich pytań.

- Myślałam, że wszystko jest pod kontrolą. Ale... Wjechali w dziurę na drodze. Daniel uderzył głową w dach.

- Ale? - Skrzywił się.

- Ma atak - odparła, biorąc kolejny zakręt.

Po kilku minutach zatrzymała się w miasteczku przed białym domem z oblażącą farbą. W mgnieniu oka wysiadła z ciężarówki, łapiąc po drodze jakieś buteleczki z torby i pobiegła do frontowych drzwi. Nawet nie zapukała.

- Gdzie on jest? - zapytała zdyszana.

- W kuchni. - Głos staruszki drżał. Poszła za Jesika, załamując ręce. - Nie mogłam go podnieść. Próbowałam, ale...

- MacCormick, przytrzymaj nogę.

Padł na kolana obok tłustego teriera rzucającego się w drgawkach i złapał sztywną przednią łapę. Jesika znalazła kciukiem żyłę i wbiła igłę. Pies gwałtownie szarpnął głową.

- Nie - jęknęła Jessie, wciskając dok strzykawki. Ale oczy psa były szeroko otwarte, a ciało nieruchome. - No chodź. Chodź. - Upuściła strzykawkę, wsunęła rękę pod łapę psa i zaczęła uciskać gorączkowo.

Pies nie ruszał się. Jessie zerwała się na nogi, pobiegła do ciężarówki i za moment wróciła. Znowu uklękła obok psa i wbijała igłę prosto w jego nieruchomą pierś.

- Złotko! - zawołała, ponawiając masaż, po czym przyłożyła stetoskop i słuchała.

Po chwili zsunęła stetoskop na szyję. Jej twarz była nieruchoma. Wstała powoli i zwróciła się do właścicielki psa.

- Przykro mi - powiedziała spokojnym głosem. - Myślałam, że udało się to opanować. Czy chciałabyś, żebyśmy... - Wzięła głęboki oddech. - Mogę się zająć ciałem, jeśli chcesz.

- Nie. - Staruszka załkała, ale opanowała się i wyprostowała.

- Chciałabym z nim pobyc... jeszcze przez chwilę.

Jessie odwróciła się i wyszła z domu. Żwir chrzęścił pod kołami furgonetki, kiedy wyjeżdżali na drogę. Cisza wręcz dzwoniła w uszach. Daniel skrzywił się.

- Posłuchaj, Sorenson. Wszystkich nie zdołasz ocalić.

- Nie. - Jej głos był głuchy, nie odrywała wzroku od szosy.

- Na pewno zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

- Zrobiłam. - Znowu cisza. - Był za gruby - rzuciła krótko.

- Mówiłam Betty, że jest za gruby. Te stare psy... Trzeba z nimi uważać.

Nie wolno... - Skrzywiła się, ściągając brwi. - Powiedziałam jej dokładnie, ile mu dawać insuliny. Powiedziałam... - Zacisnęła zęby, po czym uderzyła dłonią w kierownicę, a półciężarówka wykonała parę zygzaków.

- Za ciężko pracujesz, Sorenson.

- Nie pracuję za ciężko! - wrzasnęła, patrząc na niego ze złością. - Wcale nie... - Z piersi wyrwał jej się szloch, a ramiona zadrżały.

- Zatrzymaj się - polecił.

Zjechała na pobocze i padła na kierownicę. Nie zdołała zdusić szlochu.

Daniel patrzył na nią niepewnie. Jesika Sorenson... płacze? Odchrząknął.

- Ile on miał lat?

- Trzynaście. - Pociągnęła nosem.

- Jak długo zazwyczaj żyją?

- Może ze dwanaście. - Znowu pociągnęła nosem.

- Sorenson, ten pies był Matuzalemem. Nie możesz się spodziewać cudów.

- Co ja powiem babci?

Wspomniała, że babcia była przyjaciółką właścicielki Złotka, ale to chyba nie miało większego znaczenia. Ważne było, żeby przestała płakać. Żeby się uśmiechnęła.

- Zrozumie.

- Betty była... druhną na jej ślubie. Pięćdziesiąt siedem lat temu. Babcia była... - Załkała. - Taka dumna, kiedy jej powiedziała, że zostałam weterynarzem, a teraz tak ją zawiodłam. I nie stać mnie na to, by zapłacić Komarowi tyle, żeby mógł iść na studia, i Złotko umarł, i... co ja powiem babci?

- Jessie... - Daniel dotknął jej ramienia. - Za dużo od siebie wymagasz.

Pokręciła głową. Na moment dostrzegł jej twarz. Była mokra i okropnie smutna. Serce mu pękało.

- Babcia jest z ciebie dumna, Sorenson. Wszyscy są.

- Nawet mnie nie stać na własny d-d-dom dla nas i....

Wziął ją w objęcia, a ona położyła głowę na jego ramieniu i chwyciła go za koszulę, jak małe dziecko. Nie odzywali się. Gładził ją po włosach i po plecach. Po chwili odetchnęła głęboko i wyprostowała się.

- Przepraszam. - Starła się nie patrzeć na niego.

Miał ochotę zapewnić ją, że nie był to dla niego żaden trud, wręcz przeciwnie, oddałby wiele, by tylko móc znowu ją przytulić.

- Już lepiej? - zapytał zamiast tego.

- W porządku. - Odetchnęła z wysiłkiem.

Zacisnął pięści, by znowu nie porwać jej w ramiona. Wcale nie czuła się dobrze, wiedział o tym.

- Czy mógłbym... - Pocałować cię? Rozebrać? Przeprosić, że nie jestem dla ciebie dość dobry? Kochać się z tobą tu i teraz? - ...poprowadzić?

- Nic mi nie jest.

- Wolałbym poprowadzić.

- No dobrze - zgodziła się.

Po przejechaniu kilku kilometrów zapytał:

- Kiedy jadłaś ostami raz? - Zerknął na nią.

- Co takiego?

- Gdybyś paliła, zaproponowałbym ci papierosa. Ale chyba tobie wystarczy jedzenie.

- Nie sądzę, bym mogła pokazać się publicznie - oznajmiła, wycierając policzek wierzchem dłoni. - Po co wywoływać masową panikę?

- Miejscowi to pewnie banda mięczaków, co? Mignął słabiutki uśmiech.

Dotarli wreszcie do miasteczka i Daniel zaparkował tuż przy drzwiach sklepu wielobranżowego. Po chwili przyniósł torbę pełną zakupów i ruszyli w stronę drogi nad rzekę.

Słońce zniknęło za drzewami, kiedy wreszcie zatrzymał samochód.

- Rzeka jest chyba lepsza niż większość restauracji w tych okolicach. Masz coś przeciwko temu? - zapytał.

- Nie... bardzo dobrze.

Co zamierzała powiedzieć? Że to głupota? Że to idiotyczne? Nie dotykaj mnie nigdy więcej, ty świrze?

Od kiedy to on stara się czytać w myślach kobiet? Ale kiedy na nią spojrzął, poznał odpowiedź aż za dobrze. Wsiadł pośpiesznie.

Po chwili ściągnęła z siedzenia koc i ruszyła za nim pod drzewa. Rozłożyła koc na trawie.

Daniel wyciągnął z torby frytki, sos, pięć różnych napojów w puszkach, ciasteczka i mnóstwo lodów oraz papierowe kubeczki. Otworzył puszkę z napojem i podał jej. Pokręciła głową, ale dał jej przyjacielskiego kuksańca.

- No... Raz możesz zaryzykować.

- Nie mogę. - Westchnęła.

- Boisz się, że naruszysz równowagę wszechświata?

- To panna Fritz. Zastanawiał się przez chwilę.

- Nasza nauczycielka z szóstej klasy?

- Właśnie. Mieszka w mojej głowie - westchnęła. - A pamiętasz, jaka była wymagająca.

- Byłem jej ulubieńcem.

- Wiem. - Skrzywiła się. - Byłam wściekła.

- Chodziło mi o to, że nie będzie miała nic przeciwko temu, że się tego napijesz, skoro jesteś ze mną.

- Tak myślisz? - zapytała z nadzieją.

- Jestem pewien. Spróbuj. Chwyła puszkę i pociągnęła długi łyk.

- I co powiedziała?

Jessie milczała przez chwilę, jakby nasłuchując.

- Nic.

- No widzisz. Panna Fritz się nie sprzeciwia i nie było żadnej światowej zagłady.

Uśmiechnęła się słabo i spojrzała na rzekę.

- Skąd znasz to miejsce?

- Przychodziłem tu z panienkami, jak byłem w liceum.

- W liceum z nikim się nie umawiałeś.

- Tak? - zapytał. - Musiałem to sobie wyobrazić. Uśmiechnęła się. Patrzył na nią. Zabawne - jeśli naprawdę się

wysilił, to udawało mu się zapomnieć, jak czarujący ma uśmiech. Z trudem oderwał od niej wzrok.

- Wyobraźnię zawsze miałeś niezłą, co? - zapytała.

Zdjęła buty, a po chwili ściągnęła też skarpetki. Paznokcie u nóg miała pomalowane na czerwono i złoto, więc przez jedną szaloną sekundę nie mógł myśleć o niczym oprócz chwycenia jej stopy w dłoń i ucałowania każdego paluszka. Cholera!

- Kiedyś myślałam, że może zostaniesz pisarzem. - Pokręciła głową. - Ale dziennikarstwo... to dopiero coś.

- Naprawdę?

Zaczynał się pocić. Mógłby poprosić, by nałożyła z powrotem buty. „Posłuchaj, moja samokontrola nie jest już taka, jak kiedyś, więc jeśli nie chcesz, żebym się na ciebie rzucił jak napalony kundel...” Musiał się wydostać z tego piekielnego miasteczka. Albo... albo musiał się z nią kochać. Im prędzej, tym lepiej, bo niezależnie od tego, jak brzydkie sekrety odkrywał, wydawało się, że nic się nie liczy, tylko to, żeby jej dotykać, kochać się z nią, widzieć jak się uśmiecha.

- Tak. Zawsze miałeś taką wspaniałą wyobraźnię.

O tak, miał. Mógł ją sobie wyobrazić naga, mógł sobie wyobrazić jej wargi na swoich...

- MacCormick? Coś się stało?

Tak. Coś się stało. Nie był lepszy od wiejskiego przygłupa. Ale ona miała coś w sobie. Czy zdoła wymyślić jakieś wyjaśnienie, dlaczego zachowuje się jak wyposzczony więzień.

- Czujesz się już lepiej?

- Tak. Przepraszam za tę scenę w ciężarówce.

- Za bardzo się przejmujesz.

- Nie. Jestem... twarda jak skała. Naprawdę. No, zazwyczaj - urwała. - Czasami. - Westchnęła. - Muszę nad tym popracować.

- Nie sędzę.

Nie powinien był tego mówić, ale teraz już nie miał wyjścia.

- To, że cię to obchodzi... - Wzruszył ramionami. - To widać. Ludzie to doceniają.

Jej oczy wpatrywały się w niego tak intensywnie, że sięgały jego duszy, błagały, by wziął ją w ramiona i...

Opanuj się, MacCormick! - rozkazał i trochę się odprężył.

- A o co chodzi w tym konkretnym wypadku? - zapytał, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji.

- Złotko był dla Betty całą rodziną. Teraz... - Znowu odchrząknęła. - Teraz została sama. Powinnam była... Jaki pożytek z ośmiu lat studiów... drogich studiów - dodała - jeśli nie mogę uratować Złotek tego świata? Nie umiałam nawet pomóc Betty, kiedy mnie potrzebowała.

- Pomogłaś jej. Przedłużyłaś mu życie. A kiedy znajdzie nowego psa...

- Nie znajdzie. - Pokręciła głową. - Złotko się przybłąkał. Na początku wcale go nie chciała... Nigdy nie przyzna, że potrzebuje innego psa. Ale teraz jest sama.

- A co z panią Conrad, Gretą? To nie wystarczy?



- Nie. - Nie wahała się ani chwili.
- Kiedyś chodziłem do terapeuty - powiedział w końcu.
- Mówisz, że trzeba mi terapii? - Uśmiechnęła się.
- Co najmniej - odparł, a ona zaśmiała się niepewnie.
- Dlaczego chodziłeś do terapeuty?
- Mieszkałem w Nowym Jorku. Tam tak wypada. Chyba nie uważasz, że

miałem problemy, co?

- Co najmniej - odparła i uśmiechnęła się.

Może rzeczywiście była twarda jak skała. Na pewno twardsza od niego. Bo jak by się nie starał, nie mógł siedzieć tutaj i nie pragnąć chwycić jej w ramiona.

Upiła łyk. Spojrzała na drzewa i westchnęła.

- Zawsze kochałam szum rzeki. To też rodzaj terapii.
- I nie tak drogi jak psychiatra.
- Dlatego wróciłeś?
- Musiałem to rzucić.
- Kobietę? Przepraszam, nie powinnam o to pytać.
- Nie. - Obserwował ją. - Nie kobietę.

Siedzieli blisko siebie, ich kolana prawie się dotykały.

- Nigdy nie byłeś żonaty, MacCormick?
- Nie.

Rzeka szumiała. Na całym świecie nie było ani jednego człowieka oprócz ich dwojga.

- Poproś jeszcze raz, żebym się z tobą kochał.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Jesika wpatrywała się w niego. Jej twarz była rozpalona, a ręce zimne.

- Ja... - Wyduszenie z siebie jakiegokolwiek słowa było niezwykle trudne.

- Ja wtedy byłam pijana...

- Ale teraz nie jesteś.

- Nie powinnam była... mówić takich rzeczy. Ja... - zaczęła, ale on nie dał jej dokończyć, zamykając usta pocałunkiem.

Jego wargi były twarde i ciepłe. Od dawna tłumione uczucia ujawniły się. Po chwili odsunął się i spojrzał na nią spokojnie.

- Ja... - urwała, usiłując jakoś dojść do ładu z własnymi uczuciami. Ale nie mogła. Żaden pocałunek w życiu nie wydał jej się taki... właściwy. - Nie powinnam.

- Nie jesteś zainteresowana?

- Nie! To znaczy... Nie o to chodzi. Tylko że...

Zabolało ją serce. Tyle czasu upłynęło, odkąd była z Brianem. I przez cały ten czas ani razu nie podjęła uczuciowego ryzyka. I co dobrego z tego wynikło? Prawda, nikt już jej nie skrzywdził. Ale czy tak właśnie chciała żyć? Tylko dlatego, że raz się sparzyła?

Prawda, MacCormick długo nie zostanie. Wiedziała o tym, ale może tak będzie lepiej. Przecież wiedziała już, jak to się skończy. Nie będzie żadnych niespodzianek. Nie prosiła o miłość i on też nie. Tylko... tylko ta chwila.

- Kochaj się ze mną - szepnęła.

Siedział przez chwilę nieruchomo, a potem bardzo powoli wsunął palce pod jej podbródek i musnął jej wargi swoimi. Pocałował kącik jej ust. Potem pocałunki przesunęły się wzdłuż jej szyi.

- Mogę? - Jego palce znalazły się na guziku jej bluzki.

Ostatnie promienie słońca musnęły jej skórę. Ktoś mógł przyjść i zobaczyć ich. Ale jakoś nie miało to znaczenia. Właściwie to ryzyko jeszcze ją podniecało.

- Tak?

Jeden guzik wysunął się z dziurki. Dotyk jego warg na jej szyi, obojczykach, był wprost niebiański. Potem przesunął się niżej, podążając ścieżką między jej piersiami, całując koronkowy brzeżek stanika. Czowała, jak jej bluzka rozchyła się, jego dłonie suną po jej skórze...

Gwałtownie otworzyła oczy, a cała jej odwaga znikła.

- MacCormick!

- Może chociaż raz powinnaś nazwać mnie po imieniu - powiedział, całując kącik jej ust

- Daniel - wyszeptała, czując, jak serce zamiera jej w piersi. Nie powinna była się na to zgadzać, jej uczucia były zbyt silne.

Zbyt intensywne. Mogły wszystko zamienić w chaos. Powinna powstrzymać go teraz, póki jeszcze zachowała resztki samokontroli, póki jeszcze nie została ponownie zraniona...

- Może to jednak nie był dobry pomysł.

- Nie sędzę - powiedział, przesuwał dłoń po jej plecach.

I to wystarczyło. Jedna pieszczota i miękła jak wosk, ocierała się o niego jak spragniona kotka, sama szukała jego ust. Całowała go z gwałtowną namiętnością, a jej palce gorączkowo szarpały guziki jego koszuli.

Poczuła, jak rozpina jej dzinsy, jego dłonie zsuwają się na jej biodra, muskają je delikatnie, przyciągają bliżej.

Promienie słońca pieściły ją razem z tymi rozpalonymi pocałunkami, obnażając ją przed całym światem, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

Ściągnął jej majteczki, całując odsłoniętą skórę. Jęknęła.

- MacCormick!

Usiadła gwałtownie. Jej serce waliło jak młotem, oddychała z trudem.

- Daniel - poprawił łagodnie, ale na jego twarzy malowało się napięcie.

Pochylił się nad nią. - Nie pamiętasz?

- Daniel - szepnęła. - Ja... nie jestem cierpliwa.

- Owszem, jesteś. - Przyglądał się jej, muskając dłonią jej plecy.

Zadrżała i zacisnęła zęby.

- No, nie... Teraz akurat nie.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytał, przesuwając palcami wzdłuż jej uda

Spojrzała mu w oczy.

- Chcę się z tobą kochać.

- Myślałem, że to właśnie robimy.

- To znaczy... - zaczęła, ale akurat dostrzegła cień uśmiechu. Sięgnęła i chwyciła pasek jego spodni.

Uniósł brwi. Na chwilę zaparło mu dech, gdy ona sama ściągała mu spodnie.

Całowali się długo i powoli, nie zważając na napięcie. Potem on przekreślił się na wznak, nie wypuszczając jej z objęć. Brzuch przy brzuchu, splecione nogi.

Nie było żadnego poczucia winy, myśli zaczynających się od słów: „trzeba było” albo „muszę”. Była tylko chwila zawieszona w czasie. W końcu opadła bez tchu na jego pierś pewna, że przed chwilą wyrwał jej się głośny krzyk. Czuła szalone bicie jego serca, słyszała jego chrapliwy oddech.

- Czy... wszystko w porządku? - wykrztusił i pogłaskał jej łydkę.

Powoli wracała do nich rzeczywistość.

- Tak. W porządku.

- Czy zawsze... krzyczysz?

Ogarnął ją wstyd. Skrzywiła się i przekreśliła na bok.

- Zdefiniuj zawsze.

- Kiedy się kochasz - mruknął, nadal ją głaszcząc. - Zawsze wtedy krzyczysz?

- Ja... - Wtuliła twarz w zagłębienie jego szyi, żeby nie widział jej twarzy.  
- W ogóle nie krzyczę.

Jego śmiech był cichy i tak seksowny, że znowu poczuła dreszcz podniecenia. Przytuliła się do niego, odprężona, uspokojona. I tak zasnęła, z głową na jego ramieniu.

Daniel leżał w ciemnościach, słuchając jej cichego oddechu, stapiającego się z tajemniczymi odgłosami natury. Kumkanie żab, łoskot ptasich skrzydeł, żalosne gruchanie synogarlic. Wszystko brzmiało tak naturalnie, tak dziwnie właściwie, że był całkowicie zadowolony - nie, więcej niż zadowolony - z tego, że może tu leżeć i zachwycać się cudami świata.

Jej miękkie włosy były rozsypane na jego piersi, jej dłoń leżała na jego brzuchu. Jej piersi były przytulone do jego żeber, brzuch do jego boku, a jedna z nie kończących się nóg owinęła się wokół jego nogi. Ale taki kontakt mu nie wystarczał. Chciał słyszeć jej głos, czuć jej oddech, patrzeć, jak w jej oczach tańczą isierki.

Ale chciał też, by spała jak teraz, cicha, ufna, nasycona. Jego.

Wreszcie prawda dotarła do jego zakutego łba. Musiał się w końcu do tego przyznać. Zakochał się.

Północ już dawno minęła, kiedy Daniel wyszeptał jej imię. Jesika poruszyła się w jego ramionach jak senny kotek.

- Lepiej zawiozę cię do domu.

- Co takiego? - Jej głos był ochrypły od snu.

Powtórzył sobie po raz setny, że nie powinien znowu się z nią kochać. Nie tutaj. To było od początku ryzykowne. A gdyby ktoś ich zobaczył? Musiała dbać o swoją reputację. Miała tu praktykę.

- Muszę dostarczyć cię do domu - powtórzył i zmusił się do tego, by usiąść.

- Ach. Och! - Ona też usiadła, okrywając się kocem po szyję i ukrywając te cudowne piersi, skąpane w promieniach księżycy, przed jego wzrokiem. - Co...

Czyżby się rumieniła? Chciałby to wiedzieć. Chciałby widzieć, jak rumieniec pokrywa jej policzki i szyję. Chciałby pocałować każdy centymetr zaróżowionej skóry i potem dalej, zatrzymując się dopiero przy krzykliwe pomalowanych paznokciach u nóg. Ale już i tak zostali tu za długo. Ludzie zaczęliby gadać.

- Przepraszam - mruknął i żałował, że wcale tak nie myśli. Po chwili znalazł coś przypominającego koszulę. Na nieszczęście okazało się, że to jej koszula i musiał jej oddać.

- Proszę.

Bez słowa chwyciła ją wolną ręką, drugą nadal podtrzymując koc pod szyją. Patrzyła na niego.

- Czy trzeba ci... - Zdołał jakoś uspokoić oddech. Nie było to łatwe. - Czy trzeba ci pomóc?

Wziął koszulę i narzucił na jej ramię. Posłusznie wsunęła rękę do rękawa, potem drugą. Koc zsunął się.

Nawet księżyc uwielbiał jej piersi. Świecił prosto na nie. Jego palce musnęły jej sutki. Jego męskość zareagowała natychmiast i boleśnie. Zdołał zapiąć jeden guzik.

- Może... lepiej zrób to sama.

Zrobiła. Czy jej palce drżały? Miał nadzieję, że tak. Miał nadzieję, że cała drżała. Miał nadzieję, że tak samo jak on z trudem łapała oddech, że tak samo spalało ją pragnienie.

Po chwili znalazł swoje ubranie i zdołał je po dużo dłuższej chwili włożyć. Wtedy ona siedziała już za kierownicą, a resztki pikniku leżały na podłodze samochodu. Po kilku minutach byli w domu. Panowała cisza.

- No, to... dobranoc - powiedziała cicho.

Powstrzymanie się przed dotknięciem jej jeszcze raz wydawało się prawie niemożliwe, ale jakoś tego dokonał, odgadując dzięki jakiemuś instynktowi - o którym był całkowicie przekonany, że go nie ma - że ona potrzebuje czasu.

Pozwolenie, by odeszła było trudniejsze, niż sobie wyobrażał, ale też jakoś się na to zdobył. Jego pokój wydawał się cichy i pusty. Przez chwilę rozważał pójście za nią, ale kiedy położył się na łóżku nie myślał już o niczym - zapadł w głęboki, spokojny sen.

Poranek przyszedł i za późno, i za szybko. Kiedy Daniel zszedł na śniadanie, Jessie już nie było. Zjadł więc, wyczyścił stajnie i znalazł sobie kilka innych zajęć, by zabić czas.

W końcu usłyszał, jak otwierają się drzwi garażu. Wyprostował się gwałtownie, niemal rozbijając głowę o sufit klatki, którą właśnie czyścił.

- Hej. - To był Komar, który wcale nie wyglądał na bardziej zadbanego, niż zazwyczaj. - Widziałeś Jess?

- Nie.

- Hmm. Muszę ją o coś zapytać. Nie wiesz, kiedy wróci? Nie wróciła szybko. Ani na obiad, ani na kolację.

Daniel krążył po swoim pokoju. Gdzie ona się, u licha, podziała?

Usłyszał na Wiązowej jakiś hałas. Co to było? Jej samochód? Popędził do łazienki. I proszę, była tam, maszerowała porośniętym mchem chodnikiem w stronę domu. Odwrócił się gwałtownie. Tym razem pamiętał, żeby uważać i nie uderzył łydka o sedes. Pośpieszył tam, skąd słyszał głosy.

Z kim rozmawiała? Z mężczyzną?

Nie! To tylko babcia. Wrócił do swojego pokoju, ale tym razem przewody grzewcze niewiele mu pomogły. Zdołał dosłyszeć tylko kilka słów. W końcu rozległy się kroki. Babcia zmierzała do swojego pokoju.

Daniel zaczekał, póki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi.

Wtedy w mgnieniu oka znalazł się na schodach. Jego kroków w ogóle nie było słycać na dywanie. Jesika stała tyłem do niego i przodem do klatki, obserwując łysiejącego teriera.

- Jessie.

- Och! MacCormick.

MacCormick? Serce skurczyło mu się w piersi. A co się stało z „Daniel!”?

- Długo cię nie było.

- Ach... Tak... Ja... Wszystko potrwało dłużej, niż się spodziewałam.

Zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Dobrze się czujesz? - zapytał w końcu.

- Jasne. Oczywiście - odparła, poprawiając zwisającą ze stojaka torbę z kroplówką. - Dlaczego miałabym czuć się źle?

Odetchnął głęboko, by uspokoić nerwy.

- Co do wczorajszej nocy...

- Wczorajszej nocy! - wyrwało jej się. - To było... Miałam z tobą o tym porozmawiać...

- Tak?

- Tak. Ja... chciałam ci tylko powiedzieć, że... że to nie miało znaczenia. To znaczy... Ty wrócisz do Nowego Jorku. Wiem o tym. To była tylko... - Znowu wzruszyła ramionami. - Przygoda.

Zacisnął zęby i usiłował zachować spokój, ale małe były na to szanse teraz, kiedy jego uczucia szalały. Kiedy na wspomnienie jej w swoich ramionach, pojawiały się fantazje, o jakie siebie nie podejrzewał.

- Krzyczałaś - przypomniał jej. Otworzyła szeroko oczy i cofnęła się o krok.

- Wcale nie! Ja tylko... - Odetchnęła z trudem i zacisnęła wargi. - To było... miłe.

- Miłe!



- Ależ posłuchaj! Ciężko pracowałam nad rozkręceniem tej praktyki i nie stać mnie na... - Machnęła ręką gorączkowo. - Na rzucenie tego wszystkiego.

- Miłe? - powtórzył.

- Tak. - Jej głos drżał trochę, a on postąpił krok w jej stronę.

- Krzyczałaś - przypomniał jeszcze raz.

- To... to... to był tylko seks. Nic więcej, MacCormick. Tylko seks. Mogę uprawiać seks z kimkolwiek.

- Nie - oznajmił stanowczo. - Nie możesz.

- Czy to ostrzeżenie? - Spojrzała mu w oczy.

Sam nie wiedział. Szalało w nim tysiąc różnych uczuć, które wyrwały się spod kontroli. Chciał potrząsnąć nią, pocałować, zmusić do wyznania prawdy. To nie był tylko seks... To...

Ktoś zapukał do drzwi. Daniel spojrział w tamtą stronę. Pukanie rozległo się znowu, więc poszedł i z rozmachem otworzył drzwi. Stał tam pastor w swojej koloratce.

- Och, pan... Rolands. Dobry wieczór. Czy...

- Czego pan, u licha, chce?

- Zastanawiałem się, czy może doktor Sorenson...

- Tak. - Podeszła, odpychając Daniela. - Jestem.

- Och. - Wyglądał na zdumionego. - Obawiam się, że znowu potrzebuję pomocy - zaczął, ale w tej samej chwili w Daniela wstąpił zły duch.

- No, to może pan, do cholery, znaleźć sobie pomoc gdzie indziej! - warknął, postępując krok do przodu.

- Elston! - Dopiero po chwili zrozumiał, że Jesika mówi do niego, w dodatku szarpiąc go za ramię. - A co w ciebie wstąpiło?

Odwrócił się powoli z ponurą miną.

- Co we mnie wstąpiło? - Pokręcił głową. - Pytanie brzmi, w co ja się wpakowałam i mogę ci na nie odpowiedzieć.

- Elston! - Zerknęła na pastora, po czym chwyciła Daniela za ramię i wciągnęła go do pokoju roślinnego. - Cisza.

- Ty nie byłaś cicho - mruknął. - Pamiętasz?

- To była tylko... - Jej dłonie drżały. - Przygoda. Nic więcej. - Popatrzyła mu stanowczo w oczy.

- Jesiko? - zawołał pastor.

- Tak. - Odsunęła się od niego. - Już idę.

Daniel usiadł przy biurku. Minęło pełne czterdzieści osiem godzin, odkąd się kochał... Nie kochał. Skądże znowu! Seks. To był tylko seks, ale od tamtej chwili wszystko się zmieniło.

Dzięki Bogu, że Sorenson miała dość rozsądku, by rozjaśnić mu w głowie. Cholera! Seks to niebezpieczna sprawa. Należałoby wprowadzić urzędowe zezwolenia, bo pod jego wpływem normalni, inteligentni i opanowani mężczyźni zmieniali się w szaleńców.

Owszem, była ładna i owszem, seks z nią był niezły. No, niech będzie, więcej niż dobry. Właściwie to był niesamowity... ale mniejsza z tym. Na pewno nie był wart odrzucenia wszystkiego, nad czym pracował.

Jego powieść. Przejrzał notes pełen szczegółów i sekretów. Matka Komara poślubiła swojego kuzyna trzeciego stopnia i rozwiodła się z nim. Bill przed powrotem do Iowa zarabiał ponad trzysta tysięcy dolarów netto rocznie. Pastor Tony...

Zerwał się i znowu zaczął krążyć po pokoju. Pastor Tony opuścił swoją plebanię w Minneapolis zaledwie po sześciu miesiącach. I domyślał się, dlaczego. Bo był przeklętym...

Daniel zacisnął pięści i powoli się uspokoił. Obiektywizm. Tego właśnie potrzebował. Obiektywizmu. Może i pastor Tony jest koszmarem rozpustnikiem, ale prawda była taka, że powinien mu być wdzięczny. Gdyby nie wtrącił się wtedy, Daniel mógł powiedzieć coś, czego by teraz żałował.

Znowu zaczął krążyć po pokoju.

Dobry stary pastor Tony. Ocalił go przed popełnieniem wielkiego błędu, od uznania, że mimo problemów Sorenson mógłby żywić wobec niej jakieś uczucia Uczucia, które... Ale tak nie było. To był tylko seks. Tylko...

Ktoś zapukał do jego drzwi.

- Czego?

- McCormick? - zapytała Jessie.

- Czego chcesz?

- Ja tylko... Potrzebuję twojej pomocy.

- Pomocy? - Szarpnięciem otworzył drzwi, nie zauważywszy nawet, kiedy przeszedł przez pokój. - Pomocy? - Otworzyła szeroko oczy i cofnęła się trochę.

- Jak ty pomagasz szanownemu pastorowi?

- No... tak.

Wyrwało mu się wściekłe prychnięcie.

- Słuchaj, Sorenson, może ty nie widzisz nic złego w swoich małych romansikach, ale...

- Romansikach! - wykrztusiła.

- Co znowu? - Podszedł do niej tak blisko, że niemal jej dotykał. - Usiłujesz mi powiedzieć, że go kochasz? Że między nami to była tylko... - zazgrzytał zębami - ...przygoda. Ale z nim...

- O czym ty mówisz?

- Ale ty masz tupet Udawać niewiniątko po tamtej nocy. Zaczerwieniła się gwałtownie.

- To się nigdy nie powtórzy - przyrzekła - Żebyś był nie wiem jak miły.

- Co? A ty o czym, u diabła, mówisz?

- O tobie! Udajesz, że ci na mnie zależy. Udajesz, że przejmujesz się Betty i Złotkiem, i wyglądasz tak seksownie, kiedy...

- Złotko? Seksownie? Udaję?

Pokręcił głową. Na dole otworzyły się drzwi i Komar coś zawołał. Odwróciła się, ale on chwycił ją za ramię i wciągnął do pokoju.

- Co.... - Wziął głęboki oddech i zamknął za nią drzwi. - Nie mówiłem o tym, co robiłaś ze mną. - I nie miał zamiaru, bo samo wspomnienie sprawiało, że czuł się o krok od wybuchu. - Mówię o tym, co robiłaś z Tonym.

- Z Tonym? - Zamrugwała. - Chodzi ci o... filmowanie wydr? Na moment zgłupiał.

- Nie słyszałem jeszcze, by tak to nazywano. Popatrzyła groźnie.

- Uważamy, że Xena jest w ciąży. Rzeczne wydry nie czują się najlepiej na wolności, więc pastor Tony chce zrobić niespodziankę swojej żonie i dać jej jedno z małych, zadbać o nie, może potem wziąć jeszcze parę. Obserwowaliśmy ją, chcemy zgadnąć, gdzie robi sobie gniazdo. - Uniosła kamerę wideo. - Chcemy sfilmować narodziny, ale nie widzieliśmy jej od kilku dni.

Coś takiego!

- To znaczy, że wy nie... - Nagle zabrakło mu słów.

- Nie co? - Przechyliła głowę.

- Nie masz romansu z Tonym?

- To mój pastor. W dodatku żonaty.

- Tak czy nie?

- Nie!

Serce podskoczyło mu w piersi, ale zaszedł już za daleko, by teraz się wycofać.

- A z Billem?

- Z Billem?!

- Sypiasz z Billem?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, ale po chwili ruszyła w stronę drzwi.

Chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Naćpałeś się czegoś? - syknęła.

- Nawet nie paliłem. Dlatego moja cierpliwość nie jest rewelacyjna. Odpowiedz mi.

- Nie mam romansu z Billem.

- A z Cecilem?

Opadła jej szczęka. Oddychała z trudem i wpatrywała się w niego z widocznym przerażeniem.

Cisza. Poruszył się niespokojnie pod jej spojrzeniem, ale i tak nie puścił jej ramion.

- Zwariowałeś.

Skrzywił się. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, było możliwe, że ona ma rację, może jego zdolności detektywistyczne rzeczywiście trochę wymknęły się spod kontroli, ale przecież to nie tylko jego wina. To przez głód nikotynowy i bezsenność i... przez nią. Nie powinna wyglądać tak pięknie i pachnieć tak kusząco i... krzyżeć.

- Zakładam, że to znaczy „nie”.

- Możesz sobie zakładać, co tylko chcesz - prychnęła i wyrwała się z jego uścisku. - I jeszcze to - dodała, kopiąc go w piszczel.

Jęknął z bólu i złapał się za nogę. Ona miała już dłoń na klamce.

- Jesika! - Znowu chwycił ją za ramię. Uniosła pięść. Wykonał pojednawczy gest.

- Czy ty... - Odetchnął głęboko. - Jesteś pewna? Zmrużyła oczy.

- MacCormick, twoim zdaniem nie zauważyłabym, że mam romans?

Kiedy tak to ujęła, jego podejrzenia wydawały się dość nielogiczne. Wciąż patrzyła na niego złowrogo. I pewnie miała ku temu powody. Odchrząknął.

- Posłuchaj, ja... być może jestem ci winien przeprosiny. Wciąż wpatrywała się w niego.

- Ostatnio nie byłem całkiem sobą.

- Ach? - Zacisnęła wargi. - A kim byłeś? Skrzywił się.

- Kretynem.

- Dostrzegam podobieństwo.

Nie wiedział, czy ma się roześmiać, czy groźnie zmarszczyć.

Przezeszał więc włosy palcami i wziął głęboki oddech, przygotowując się w ten sposób do najgłępszego uczynku swojego życia.

- Słuchaj, Sorenson, ja...

Nie mógł wydusić z siebie prawdy o swoich uczuciach. Czuł to już przedtem, kochał i bywał porzucany. Ludzie inteligentni nie narażają się na ból i porzucenie. Zamiast tego unikają ich, stawiają mury chroniące przed bólem, wolą przewidywać najgorsze. A on był inteligentnym człowiekiem.

- Co? - zapytała.

- Nic - odparł. - Ta noc znaczyła coś dla mnie - wykrztusił.

Czyżby wstrzymała oddech?

- A co?

Zaszedł za daleko. Nie powinien. Jego serce było na alarm.

- Wiem, co to jest sam seks... - Urwał, nakazując sobie przerwać póki jeszcze czas, ale było za późno. - To nie było tak.

- Jak co? - jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Jak... - zaczął, ale ona była taka piękna, taka kusząca, taka bliska. Nie mógł się powstrzymać, by nie sięgnąć po nią, nie chwycić jej w ramiona, nie przytulić. Nie pocałować jej.

Oddała mu pocałunek. Gorączkowo szukał słów, które miałyby chociaż pozory sensu i powoli odsunął się, nie wypuszczając jej jednak z ramion.

- Jak to. - Jego głos brzmiał głucho. Jej ramiona obejmowały go w pasie.

- Ach - westchnęła. - A co to było?

Miłość, podpowiadał mu umysł, ale wargi nie chciały wypowiedzieć tego słowa.

- Nie wiem - szepnął. - Nigdy wcześniej tego nie zaznałem. Zamrugała.

- No, to może powinniśmy spróbować jeszcze raz.

- Dla celów badawczych.

- Dla dobra nauki - mruknęła, a on ją pocałował.

Zalała go fala uczuć, uniósł ją i delikatnie ułożył na swoim łóżku. Pocałunek przerwał tylko na chwilę, kiedy położył się obok niej. Ich ubrania opadły najwyraźniej z własnej inicjatywy, a oni nagle byli nadzy. Leżeli na boku, ze splecionymi nogami. Jej skóra była cudownie gładka pod jego dłońmi, a jej wargi smakowały jak wino.

- Jesika - szepnął, głaszcząc jej ramię. - Kiedyś śniłem o tym. Że jesteś tutaj, w moim łóżku. - Przesunął rękę niżej, na jej brzuch.

- Naprawdę? - zapytała, mrużąc cicho, gdy jego ręka kontynuowała wędrówkę.

- Tak. Zamknęła oczy.

- Kiedy?

- Ostatniej nocy.

Na jej wargach pojawił się uśmiech, który zaraz zamienił się w jęk rozkoszy, kiedy przyciągnął ją bliżej.

- I noc przed tym. - Przytulił ją do siebie. - I dziesięć lat wcześniej.

- MacCormick...

- Co takiego? - zapytał, pochylając głowę, by dosłyszeć jej szept.

- Pragnę cię... Zaszło mu w gardle.

- Dobrze - wykrztusił.

Ich miłość była gorączkowa i płomienna, zaniósła ich na szczyty rozkoszy, zanim zasnęli w swoich ramionach. W środku nocy on się obudził, a jej ciało, takie miękkie i ciepłe, było zbyt pociągające, zbyt cudowne, by mógł mu się oprzeć.

Znowu się kochali, tym razem wolniej i on nie spał jeszcze długo po tym, jak ona zasnęła.

To niczego nie zmienia, powtarzał sobie. On nadal musiał napisać książkę, zająć się swoim życiem. Ale kiedy przytuliła się do niego, w głębi duszy znał prawdę.

To zmieniało wszystko.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

- Powinno się bardzo ładnie zagoić - oznajmiła Jesika, kończąc bandażowanie zranionej łapy starego airdale'a. - Ale i tak dam pani tabletki i maść.

- Mhm. - Pani Mueller nie mogła się skupić ani na chwilę. - A więc to ty jesteś synem Willy'ego MacCormicka, tak? - zapytała.

- Nie - zaprzeczyła Jesika. - To Elston...

- A tam! - Starsza pani machnęła lekceważąco ręką. - Wszyscy wiedzą, że to chłopiec Willy'ego.

- Nie... - zaczęła znowu Jesika, ale Daniel jej przerwał.

- Naprawdę? - zapytał, a w jego głosie dzwięczał śmiech.

- No pewnie - potwierdziła starsza pani. - I zająłeś się naszą Jessie.

- On wcale nie... - zaczęła Jessie, ale przerwał jej śmiech Daniela.

- Naprawdę, pani Mueller?

- No pewnie. - W jej wodnistych oczach błysnął humor. - I lepiej bądź dla niej dobry, bo...

Jesika odchrząknęła, jej policzki płonęły. Ale z drugiej strony były rozpalone od tygodnia, od kiedy poszła do jego pokoju, od kiedy kochali się całą noc...

- Tak. Dziękuję za zainteresowanie moim losem, pani Mueller, ale na nas już czas. Proszę, oto tabletki. I maść. Dwa razy dziennie. Proszę nie zapomnieć. Do zobaczenia.

Nadszedł gorący lipiec, pełen namiętnych pocałunków i długich nocy, które zawsze okazywały się za krótkie.

Daniel często próbował coś napisać, ale bez większych rezultatów. Zawsze kiedy usiłował napisać coś o swojej bohaterce, w jego myślach pojawiały się tylko najsympatyczniejsze przymiotniki, więc tekst przypominał



bardziej romans godny Barbary Cartland niż dzieło noblisty Johna Steinbecka. Ale jakoś niewiele go to obchodziło. Nagle niebo stało się bardziej niebieskie, a trawa bardziej zielona. Rzeczy, na które nigdy przedtem nie zwracał szczególnej uwagi, teraz nabrały niezwykłego uroku - dziecięcy śmiech, śpiew skowronka, promienie letniego księżyca. Życie nie było złe, było cudowne, a każdy powinien być tak szczęśliwy, jak on.

- Jess! - zawołała babcia z ganku. - Popatrz, co mam.

Jessie nie odpowiedziała, ale Daniel odwrócił się i spojrzał na babcię, która wkroczyła do kuchni z rośliną w doniczce.

- Popatrz tylko! - zapiała, demonstrując roślinę, jakby była nowo odkrytym skarbem. - Wiesz, co to jest?

Daniel uśmiechnął się. Ostatnio często to robił. Uwielbiał się uśmiechać.

- Roślina w doniczce?

- No pewnie, że roślina, mądralo - prychnęła. - To kanadyjski dereń. Pamiętasz, jak mówiłam, że z derenia robi się eliksir na bóle mięśni i stawów? Proszę, oto on.

- Naprawdę? A gdzie go pani znalazła?

- I to jest właśnie zabawne. - Pogładziła ciemnozielony liść. - Znalazłam go na ganku. Nie wiesz nic o tym, co?

- Ja? Nie odróżniłbym derenia od jeżozwierza. Skąd... - zaczął, ale w tej samej chwili pojawiła się Jesika.

Miała na sobie podwinięte dżinsowe szorty i liliową jedwabną bluzkę, związaną w talii. Paznokcie u nóg miała pomalowane dokładnie na kolor bluzki, a stopy bosc.

- Co się dzieje?

- Popatrz - oznajmiła babcia. - Ktoś zostawił na ganku dereń.

- Naprawdę? - zdziwiła się Jess. - Kto?

- Nie mam pojęcia - odparła starsza pani, znowu zerkając na Daniela

- No cóż... - Pośpiesznie odstawił filiżankę. - Jeśli mamy zdążyć na tę koszykówkę, to lepiej już chodźmy.

- Aha - mruknęła babcia, a Daniel znowu się uśmiechnął.

Letnia Gala Oakes nie była wydarzeniem na skalę kraju, ale i tak przyszło prawie całe miasto. Kiedy szli we dwoje cienistymi chodnikami, większość ludzi zerkała na nich i mówiła „Dzień dobry” lub „Cześć”, wymieniała informacje o różnych problemach życia w małym miasteczku.

Po drugiej stronie ulicy szli Larry i jego żona, prowadząc za rączki swoją złotowłosą córeczkę. Daniel ze zdumieniem spostrzegł, że mała jest podobna do Jesiki jak jedna kropla wody do drugiej.

- Hej, kuzynko! - zawołała żona Larry'ego. - Wszystkiego najlepszego z okazji Letniej Gali!

- Kuzynko? - zapytał, starając się o jak najobojętniejszy ton.

- No pewnie - odparła. - Shelly to moja cioteczna siostra. Wszyscy twierdzą, że ich córeczka to skóra zdjęta ze mnie.

- Naprawdę? - Jego serce śpiewało z radości. - Nie zauważyłem.

Kiedy szli w stronę boiska do koszykówki, Daniel usiłował trzymać ręce przy sobie, ale było to niewykonalne. Kiedy na chwilę skrył ich zagajnik wysokich wiązów, chwycił ją w objęcia i pocałował.

- Hej, wy dwoje!

Jesika wyrwała się z jego ramion z twarzą czerwoną jak burak, przez co zapragnął pocałować ją jeszcze raz.

- Pastor Tony - jęknęła.

- A tak. - Pastor roześmiał się i ścisnął dłoń stojącej przy nim kobiety. Była niewysoka, smukła i pociągająca. Obok niej stała mała dziewczynka z niebezpiecznie lepkim lizakiem. - A ja myślałem, że to rodzinny park - odezwał się Tony.

- Przepraszam - wymamrotała Jesika.

- I powinnaś - odparł Tony, otaczając ramieniem tanę żony. Obdarzył ją długim pocałunkiem, po którym była zadyszana, ale w jej oczach błyszczały gwiazdy. - To nasze miejsce.

Daniel uniósł brew. Nigdy w życiu tak nie ucieszyło go stwierdzenie, że ktoś inny ma ładną żonę.

- Wybieracie się na mecz? - zapytał Tony.

- Miałem w planach co innego - odparł Daniel. - Ale skoro tu jesteście, możemy równie dobrze...

- Owszem, wybieramy się - wtrąciła Jesika.

Szarpnęła Daniela za rękę i wyciągnęła go na słońce. Znalazł tam miejsce pod wielkim dębem, skąd doskonale widzieli boisko, a on mógł co jakiś czas, kiedy nikt ich nie obserwował, przesunąć dłonią po nagim ramieniu Jessie lub zanurzyć twarz w jej nagrzanym słońcem włosach.

- Piękny dzień, co? - odezwał się znajomy głos.

- Betty. - Jesika podniosła wzrok i wygładziła koc. Wyprostowała się sztywno. Daniel wiedział, że to niepotrzebne poczucie winy i ścisnął jeszcze raz jej dłoń. - Jak się miewasz?

- Och, nie najgorzej. Tylko czuję się troszkę samotna. - Wzruszyła chudymi ramionami okrytymi staroświecką sukienką w grochy. - Złotko tak lubił Gałę, zresztą wiesz...

Stojąca obok młodsza wersja starszej pani zmarszczyła brwi.

- Mówiłam mamie, że przed powrotem do Ames znajdę jej nowego psa, jeśli...

- Nie chcę nowego psa - przerwała Betty, kręcąc głową. - Znalazłam Złotko, kiedy był nie większy od kijanki. I chudy jak wykałaczką. No to mu pomogłam, ale nie życzę sobie, żeby jakieś inne stworzenie żarło moje jedzenie.

- Jej stare oczy błysnęły. - Jess, chciałam ci podziękować za to, co zrobiłaś.

- Przykro mi, że nie mogłam zrobić więcej - odparła.

- Jessie. - Daniel musnął jej dłoń. - To nie twoja wina.

- Wiem, ale...

- Żadnych ale - oznajmił, tuląc jej dłoń. - Jesteś tylko człowiekiem.

Spojrzała mu w oczy.

- Nie zauważyłam żadnych skrzydeł, ale może jakbym się dobrze przyjrzała...

- Hej, Jess! - zawołał przechodzący obok Komar. - Będę pracował w mleczarni. Wpadnij, jakbyś chciała loda albo coś.

- Jasne! - zawołała, a Daniel prychnął.

- Ten mały powinien sobie znaleźć jakieś hobby. Inne niż przeszkadzanie nam.

Roześmiała się, a on pochylił się ku niej. Koniecznie musiał ją pocałować.

- Świetny dzień na mecz, prawda?

Sploszona spojrzała na nowego przybysza. Był to Bill, który wyglądał na nader zadowolonego. Z uśmiechem skinął głową Danielowi, po czym zwrócił się do Jess.

- Zastanawiałem się, czy nie potrzebujesz trochę słomy.

- Na razie nie.

- Dobra. No, to nie przeszkadzajcie sobie - oznajmił, kierując stadko swoich dzieci w stronę boiska.

- Szczęśliwie żonaty? - zapytał Daniel Znowu ogarnęła go niepewność.

Jessie uśmiechnęła się lekko.

- Dlatego tu przyjechał.

Ruchem głowy wskazała pięknie wystrzyżony trawnik, na którym Bill właśnie obejmował ramieniem najstarszego syna. Chłopak miał kilkanaście lat i wzrostem niemal dorównywał ojcu. Nie usunął się spod ojcowskiego ramienia. Doleciał ich niski śmiech dwóch mężczyzn.

- Dla nich - wyjaśniła. - Chciał dać im to, z czym sam dorastał. Daniel nie odpowiedział. No dobrze, może jego teorie o mieszkańcach Oakes były cokolwiek naciągane.

- A co ty myślałeś? Że ściga go mafia czy coś? Zawsze uważałam, że powinieneś trzymać wyobraźnię na wodzy, MacCormick.

- Nieprawda. Mogę sobie wyobrazić ciebie... - Zamilkł i pochyła się w jej stronę.

Dzień wypełniły śmiechy i żarty. W końcu dotarli z powrotem do domu. Szli nierównymi chodnikami, trzymając się za ręce.

- Posłuchaj - szepnęła Jessie. - Synogarlice. Babcia je uwielbia.

- Mamie zawsze robiło się smutno, jak je słyszała. Tak myślałem, ale pewnie wcale nie to jej przeszkadzało. Raczej świadomość, że zostanie tu na zawsze, daleko od wszystkiego, do czego przywykła w dzieciństwie.

- Przykro mi - powiedziała w końcu Jessie.

- Przykro? - Spojrzał na nią.

- Przykro mi, że odeszła. Że musiałeś żyć bez niej. Przykro mi, że ona musiała żyć bez ciebie. I że umarła, zanim mogła się dowiedzieć, na jakiego wspaniałego człowieka wyrosłeś,

- Byłem na nią wściekły za to, że odeszła - powiedział. - Naprawdę wściekły, ale jego chyba nie znośm bardziej.

- Twojego ojca?

- Pewnie uważałem, że ja powinienem mu wystarczyć. - Westchnął. - To znaczy owszem, ona odeszła, ale co ze mną? - Skrzywił się. - Przyznałem się już, że jestem samolubnym draniem?

- Byłeś tylko dzieckiem. - Uśmiechnęła się smutno.

- Tak, samolubnym i ponurym dzieckiem, ale teraz...

Letnie powietrze było ciepłe, ptaki cichły już na noc, a ona była bez wątpienia najwspanialszą kobietą na świecie.

- Chyba rozumiem, dlaczego nie mógł o niej zapomnieć.

- Na pewno jest dumna z tego, na kogo wyrosłeś. Pewnie szturcha wszystkie inne anioły i mówi im: „To mój syn”.

- Tam, skąd pochodzisz, anioły tak mówią? Zaśmiała się cicho, gardłowo.

- Anioły nie krzyczą - odpowiedziała. Uniósł jedną brew.

- Masz ochotę na krzyki, Sorenson?

- O, Jess.

Komar wyłonił się z psiarni jak zły sen. Jessie uskokczyła w tył.

- Komar! Co ty tu robisz?

- Właśnie skończyłem w mleczarni. - Przeniósł wzrok z niej na Daniela, ale jeśli poczuł zazdrość lub gniew, nie pokazał tego po sobie. - Przepraszam, że tak późno.

- Żaden problem. Ale... długo tak nie wytrzymasz.

- Jeśli kiedykolwiek zostanę stażystą, to nie będę miał problemów z długimi dyżurami. - Wzruszył ramionami.

- Uda ci się - pocieszyła go.

Daniel pomyślał, że ma rację. Jeżeli w dążeniu do zostania lekarzem okaże tyle wytrwałości, co w przeszkadzaniu im...

- Parę lat będę oszczędzał. Do tego czasu pewnie będę siedział tutaj. A właśnie, nie mogłem znaleźć smyczy Rekxa.

- Ach... - Zerknęła na Daniela. - Pomogę ci.

Daniel przyjął to najspokojniej, jak mógł, chociaż najchętniej wygoniłby Komara z domu jak owada, na którego cześć go nazwano.

- No, to ja chyba pójdę już spać. Komar, do jutra. Dobranoc, Sorenson.

- Dobranoc - odparła, ale w jej oczach błyszczały obietnice.

- Żartujesz! - wykrztusiła Jessie do słuchawki. Skończył się właśnie bardzo długi dzień. Daniel pojechał po nowe zapasy paszy, a ona wreszcie uporała się z papierkową robotą. - To fantastycznie! No tak, oczywiście, że będę za tobą tęsknić, ale... O rany! Pewnie! Leć i powiedz wszystkim. Do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i kompletnie osłupiała wpatrzyła się w ścianę. Po chwili usłyszała, jak otwierają się drzwi frontowe.

- MacCormick, to ty?

- Tak. Zaraz zejdę - powiedział, ale ona już wybiegła z gabinetu do holu.

- Nie uwierzysz, co się właśnie stało. Dzwonił Komar. Dostał stypendium.  
- Żartujesz - powiedział, ale nie odwrócił się do niej przodem. Wciąż szedł schodami na górę. - To świetnie.

- Prawda? I takie dziwne. Anonimowe. Jak grom z jasnego nieba. Stypendium dla kogoś, kto ukończył liceum w Oakes i w końcowych testach zdobył co najmniej tysiąc czterysta punktów. Jakby ofiarodawca chciał, żeby to właśnie Komar dostał te pieniądze.

- Ludzie bywają dziwni. No, to pewnie Komar długo tu już nie posiedzi, co?

- Nie. - Umilkła i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w plecy MacCormicka. - Czy ty piszczysz?

- Aaa. Tak. Troszeczkę... - Zakaszłał ochryple. - Trochę rozbolało mnie gardło.

- Gardło? - zapytała, ale w tym momencie zza jego ramienia wychyliło się coś włochatego i żółtego, co zresztą zaraz zasłonił. - MacCormick - podjęła, starannie dobierając słowa. - Czy spod łokcia wystaje ci ogon?

Odwrócił się powoli i rzucił jej krzywy uśmiech. W jego dłoniach wierciła się żółta futrzana kulka.

- To szczeniak - wyjaśnił. - Potrzebny mu dom. Znalazłem go.

- Znalazłeś? - Wbiegła na schody, by pogłaskać maleńki żółty łebek. - Gdzie?

- W sklepie ze zwierzętami. - Wyglądał na zakłopotanego.

- Jest trochę chudy.

- Wiem - odparł z zadowoleniem. Spojrzała na niego podejrzliwie. - Umiesz dochować tajemnicy? - zapytał.

- Nie.

- No dobra - zaczął, rozglądając się dramatycznie w prawo i lewo. - W takim razie chyba będę musiał cię zabrać ze sobą.

- Co my tu robimy? - zapytała Jesika szeptem.

- Zakradamy się - wyjaśnił, ledwo widoczny w swoim ciemnym ubraniu.

- Zwariowałeś.

- Tak, wiem - odparł, po czym zgiął się niemal wpół, ciągnąc ją za sobą przez ciemne podwórko.

- MacCormick! - Wpadła prosto na jego plecy, kiedy nagle zatrzymał się za krzaczkiem. - Co my tu robimy?

- To - odparł i pocałował ją.

Piesek wiercił się, ściśnięty między nimi.

- Nie musieliśmy zabierać psa - odezwała się chwilę później, ale jej głos był teraz łagodny i rozmarzony.

- No, to pozbądźmy się kundla i wracajmy do domu.

- Pozbyć się go?

- Tak - mruknął, chwycił ją za rękę i odwrócił się. - W domu Betty Weaver.

- Betty... - zaczęła, ale urwała, gdy nagle zrozumiała, o co mu chodzi. - Chcesz jej dać tego pieska.

- Niezupełnie dać - mruknął, wyglądając zza krzaka.

- MacCormick - szepnęła. - Poznałam prawdę - jesteś święty.

- Skądże - zaprzeczył, czule dotykając jej policzka. - Ale pozbądźmy się szczeniaka, a potem możesz spróbować mnie przekonać.

Skinęła głową, pewna, że nie wydobyłaby z siebie głosu.

Tajna misja okazała się w końcu łatwa. Daniel schował się w krzakach koło drzwi i popiskiwał, podczas gdy Jesika usiłowała wypchnąć pieska na środek chodnika.

Po kilku minutach pojawiła się ubrana w szlafrok Betty. Otworzyła skrzypiące drzwi i wyjrzała na podwórko.

- Kto tam? - zawołała.



Daniel skulił się bardziej i wstrzymał oddech. Piesek nie zapiszczał w odpowiednim momencie, tylko nadstawił włochate uszka i przechylił łebek, słysząc ludzki głos.

Przez chwilę Daniel obawiał się, że starsza pani wróci do domu. Jednak po chwili usłyszał jej okrzyk zaskoczenia, a zaraz potem szła już alejką.

- No proszę! A co ty tu, na litość boską, wyrabiasz? Och. - Pochyliła się. - Taka z ciebie chudzinka. Całkiem jak Złotko. No chodź. Przygotujemy ci coś do jedzenia... a później zastanowimy się, gdzie jest twój dom. - Potem zapanowała cisza.

Po chwili Daniel opuścił swoją kryjówkę i spotkał się z Jessie za bzami. Kiedy wreszcie dotarli do domu, oboje z trudem panowali nad pożądaniem.

Noc była długa i niezapomniana. Wstali późno, zjedli na śniadanie naleśniki z niezdrowym syropem.

- Żadnych wizyt - powiedziała Jessie.

- Co takiego? - Daniel spojrzał na nią znad doniczek.

- Nie mam na dzisiaj żadnych umówionych wizyt - powiedziała. - Co chcesz robić?

- Naprawdę musisz pytać? - Uniósł brew. Zarumieniła się tak, że zapragnęła natychmiast zacząć.

- Nie możemy tego robić cały dzień. Babcia jest w domu.

- No to co?

- Ma strzelbę.

- Warto zaryzykować - zapewnił ją. Roześmiała się.

- Mam lepszy pomysł.

- Wątpię - zaprotestował.

Godzinę później, kiedy stanęła nad rzeką i zrzuciła szorty i koszulkę, zmienił zdanie. Jej dwuczęściowy kostium kąpielowy nie był ani nowy, ani nie odkrywał dużo, ale kiedy pochyliła się, by wy dostać z tyłu samochodu dwie wielkie dętki, które tam wcisnęli, szczerze docenił jego zalety.

- Uwielbiam pływanie na dętkach - oznajmił.

- Nigdy przedtem tego nie robiłeś.

- Bo jestem kretynem - wyjaśnił.

Samochód został zaparkowany w dole rzeki, niedaleko cienistej polanki rybaków. Związali dętki jakimś dwumetrowym sznurem i popłynęli szerokim korytem Wężowej Rzeki. Sierpniowe słońce grzało ich przyjemnie. Jednak Jesika była za daleko i w końcu Daniel, zmęczony długą rozłąką, wyslizgnął się z dętki i popłynął do niej.

- No widzisz - uśmiechnęła się do niego, a jej oczy były bardziej niebieskie niż bezchmurne niebo nad nimi. - Mówiłam ci, że jest cudowne.

- Co jest cudowne? - zapytał, chociaż już znał odpowiedź.

- To. Oakes. Iowa. Wszystko...

- Ty - przerwał, podciągnął się na jej dętkę i pocałował ją.

Jej wargi były słodkie jak miód, a kiedy objęła go za szyję, nie mógł zrobić nic innego jak tylko znaleźć się obok niej na dętce.

Teraz dzień był już idealny. Ich podróż była powolna i leniwa, tak samo jak jej dłonie, ciepłe niczym promienie słońca. Pośpiesznie ściągnął koszulkę i rzucił na swoją pustą dętkę.

Otoczyła go ramieniem w pasie.

- Tak lepiej - orzekła, wsuwając kciuk pod gumkę jego szortów. - Ale nie całkiem o to mi chodziło.

Uniósł brwi.

- Ostrożnie, Sorenson. Nie chciałbym zaszokować jakiegoś przechodnia.

- Czyżby? - zapytała, sięgając głębiej.

- Właściwie to... - Zacisnął zęby i wstrzymał oddech. - Celem mojego życia jest szokowanie ludzi.

- Ale ze mnie szczęściara - mruknęła, ściągając mu szorty.

Po chwili znalazła się w jego ramionach, ciepła, miękka, rozkoszna. Całował jej szyję, ramiona, pełne piersi, ściągając przy tym dół jej bikini. Odchyliła głowę i owinęła nogi wokół jego pasa. Nie mogli już dłużej czekać.

W końcu, nasyчени i szczęśliwi, przytulili się do siebie, bezwstydnie nadzy w swoim pływającym rajku i rozmawiali o nieważnych drobiazgach.

Całkowicie zajęci sobą, pozwolili, by czas i obowiązki odpłynęły na falach, aż nagle Jessie uniosła się na łokciach i spojrzała na południowy brzeg.

Daniel podniósł głowę i zobaczył, że zbliżają się do rybackiej łączki. Na brzegu siedziało z ojcem dwóch małych chłopców i dziewczynka, wszyscy z wędkami.

Pomachał im przyjaźnie. Oni też mu pomachali.

Wtedy Jessie mocno chwyciła go za ramię.

- MacCormick! - syknęła. - Zgubiłam dół od kostiumu.

## ***ROZDZIAŁ TRZYNASTY***

- A to jakiś problem? - zapytał.

- Jesteśmy już prawie koło samochodu! Uśmiechnął się.

- Nie śmieję się!

- No dobra. Proszę. - Przyciągnął swoją porzuconą dętkę i złapał koszulkę. - Masz, włóż to. I lepiej zacznij wiosłować do brzegu, bo będziemy musieli iść drogą do samochodu. - Uśmiechnął się. - Przyznaję, że widok byłby uroczy. Ale nie pozwolę, byś zabawiała w ten sposób całe Oakes - dodał, płynąc do swojej dętki.

W końcu, nie znajdując innego wyjścia, włożyła koszulkę i zaczęła płynąć do brzegu. Dętki opadły niżej, na poziom pasa, potem bioder. Daniel zauważył, że Jesika obniża się razem ze swoją dętką. Uśmiechnął się. Najpierw do koszulki, lepiącej się do jej ciała, potem do rybaka, a w końcu do jego małej

córeczki. Miała może z pięć lat, niesforne loki, ubłocony nos i brakowało jej przedniego zęba. Uwielbiał ubłocone nosy.

- Świetny dzień na ryby - zawołał.

- Super - odpowiedział ojciec.

- Złapałam wielką rybę - oznajmiła dziewczynka. Jessie krokiem robota ruszyła w stronę półciężarówki.

- Wielką rybę, tak? - zapytał Daniel, szukając kluczyków w kieszeni szortów. - Wielką jak wieloryb?

- Nie, mniejszą od wieloryba - sepleniała trochę. Cała rozjaśniła się w uśmiechu. - Ale większą niż autobus.

Roześmiał się. Za ciężarówką Jessie chrząknęła znacząco.

- No, muszę już iść. Miłej zabawy - oznajmił Daniel i poszedł otworzyć drzwi od strony pasażera. - No dobra. Będziesz musiała odłożyć tę dętkę - stwierdził.

- Zwariowałeś?

- Możliwe, bo właśnie uznałem, że chciałbym mieć córkę. Niekoniecznie natychmiast - dodał, otwierając przed nią drzwi.

Wślizgnęła się do środka, podczas gdy on zajął się dętkami. Kiedy wreszcie usiadł za kierownicą i pochylił się, by pocałować ją jeszcze raz, zaszumiło radio.

- Co się dzieje, babciu? - zapytała z uśmiechem.

- Jessie! Nareszcie! - Ochryply głos babci był pełen paniki. - To Dzidzia. Ma kłopoty.

- Rodzi?

- Tak, ale Cecil twierdzi, że nic się nie dzieje, a on nie wie, od jak dawna jest w tym stanie. Doktora Barkera nie ma. Pospiesz się, Jess! Kto wie, co się stanie z tym starym draniem, jeśli straci Dzidzię.

- Dobra. Powiedz Cecilowi, żeby nie panikował. Niech ją uspokaja. Będziemy tam za momencik.

Wyłączyła radio, a Daniel przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Klaczka Cecila? - zapytał.

- O dwa tygodnie za wcześnie. Niedobrze, jeśli poród trwa już jakiś czas.

- Masz ze sobą wszystko?

Zerknęła na swoją skrzynkę w tyle wozu.

- Znieczulenie. Strzykawki...

- Spodnie? - przerwał.

Jęknęła cicho i popatrzyła w panice na swoje nogi.

- Masz. - Sięgnął do szortów. - Trzymaj kierownicę.

Kiedy zrobiła, co jej kazał, ściągnął kapielówki. Dostrzegł jej spojrzenie i odchrząknął, a ona pośpiesznie przeniosła wzrok na drogę. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamknęła je z powrotem, gdy podał jej mokre szorty.

- Masz. Włóż je.

- A ty? - Złapała je i oddała mu kierownicę.

- Żartujesz? Masz na sobie mokrą koszulkę. Będę miał szczęście, jeśli Cecil nie padnie na zawał zanim w ogóle zauważy, że żyję - odparł.

Wślizgnęła się w szorty w tej samej chwili, w której wypadli zza rogu i podjechali do ceglanej stajni.

Z szerokich wrót wybiegł Cecil. Zaczął mówić, zanim jeszcze Jessie zdążyła wysiąść.

- Jess. Matko Boska, jak się cieszę, że już jesteś. Dzidzia leży i... - Zamarł z otwartymi ustami na widok owiniętego w ręcznik Daniela. - A tobie, co się stało?

- Śpieszyłem się.

- Do czego? - warknął starszy pan, ale Jessie szybko go zapytała:

- Ciągle prze?

- Czasami, ale jest zmęczona.

- Dobrze, Cecilu, przynieś belę siana, gorącą wodę... - Urwała, patrząc w stronę drzwi stajni. - Babciu! A ty, co tu robisz?

- No - odparła starsza pani niecierpliwie. - Przecież nie mogłam go tu zostawić samego, nie wiedząc, co on wyrabia!

- Babciu, weź narzędzia z tyłu. MacCormick, weź... - spojrzała na niego i zmieniła zdanie - ...jakieś spodnie.

W końcu mokry, umazany żrebak został wyciągnięty ze swojego ciemnego schronienia prosto pod nos matki.

- Żyje? - zapytał Cecil ochryple. Odpowiedziało mu kichnięcie noworodka, który niepewnym ruchem uniósł główkę. - W porządku, wszystko w porządku, Edno - wykrztusił.

- Och, Cecilu - odezwała się babcia przez łyżę. - Jest taka śliczna.

- Tak. Tak. - Wytarł policzek wierzchem dłoni i przeniósł

wzrok ze żrebaka na starszą panią. - Całkiem jak jej właścicielka. - W stajni zapanowała cisza. - Pierwsze dziecko Dzidzi. Chciałbym ci ją podarować, Edno, wraz z moimi przeprosinami. Nie powinienem był zabierać ci tej klaczy.

- Chcesz mi ją... - Jej głos drżał podejrzanie, chociaż podbródek trzymała wysoko. - Chcesz dać mi tego żrebaka?

- Właśnie dlatego znalazłem Dzidzi najlepszego ogiera. Żebyś nie była rozczarowana.

- Ale ja nie mogę... to znaczy... to nie byłoby w porządku, odbierać ci ją.

- No, to przenieś się tutaj.

- Co takiego? - zapytała babcia.

- Co takiego? - wykrztusiła Jesika.

- Jakie masz zamiary? - zapytał Daniel, ale Cecil nie dostrzegwał żadnego z nich.

- Edno, zostań moją żoną - poprosił.

- Dwadzieścia lat czekałam, aż mnie o to poprosisz - odpowiedziała.

I tym jednym zdaniem zakończyła się cała wojna.

- Byłaś niesamowita.

Daniel oparł się o kuchenny blat i patrzył na Jessie. Miał teraz na sobie spodnie wuja, zdecydowanie na niego za szerokie, a więc opadające dość niska

- Ty też. - Jessie spojrzała na jego nagi tors, bosa stopy. Na jej wargach pojawił się cień uśmiechu.

- Naprawdę? - Uniósł brew, czując, jak jej badawcze spojrzenie rozpala mu krew w żyłach.

- Jak uważasz, domyślili się czegoś? Roześmiała się, wskazując na swoją za dożą koszulkę.

- A czego mieliby się domyślać? Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

- Xena - wtrąciła.

Daniel odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak ciemny ogon znika za rogiem u góry schodów.

- Wróciła! - wykrzyknęła Jessie, łapiąc Daniela za rękę i biegnąc w stronę schodów.

W mgnieniu oka znaleźli się na górze. Dywan był mokry. W łazience miniaturowe tajemnicze zwierzątko wyjrzało zza sedesu, obserwując ich uważnie.

- Co to, u diabła, jest? - zapytał Daniel.

- Mała wydra. Xena już urodziła, a ja nawet nie wiedziałam.

- Wydra! - wykrzyknął, waląc się w czoło.

Usłyszeli hałas w pokoju Daniela. Pobiegli tam. Obok przemknęły kolejne dwie wyderki. Wszędzie były ślady maleńkich łapek. Po całym pokoju walały się porozrzucone papiery.

- No nie! - zawołała Jessie, powstrzymując śmiech, gdy największa wydra odwróciła się do nich z zaskoczonym wyrazem pyszczka.

Xena zeskoczyła z biurka, rozrzucając chmurę papierów.

- Och, MacCormick! - zawołała Jessie z podejrzenie poważną miną. Zebrała kilka przemoczonych papierów. - Przykro mi. Mam nadzieję, że nie były ważne.

Ogarnęło go nagle bardzo złe przeczucie.

- Nie. Wcale nieważne. Daj mi to. Sam się nimi zajmę.

- Nieważne, co? Dziwnie ci na nich zależy. Co to jest?

- Nic takiego.

- Hmm - mruknęła, zerkając na jedną z kartek.

Daniel skoczył do niej, ale było już za późno. Przez kilka sekund mógł tylko patrzeć, jak przerzuca kartki, patrzeć, jak rumieniec znika z jej twarzy.

- Jesika. - Wypowiedział to imię powoli, cicho, jakby z nadzieją, że jeśli będzie ostrożny, zdoła cofnąć zegar o te kilka chwil, wywołać z powrotem jej uśmiech. - Mogę ci to wyjaśnić.

- Robiłeś notatki. - Jej głos był cichy, zdumiony. - O nas... - Spuściła wzrok na kartkę, którą ścisnęła w dłoni. - O mnie.

- Posłuchaj, Jess, to nie tak jak...

- Babcia... - Z przerażeniem spojrzała na kartkę. - Bierze narkotyki? Dlaczego? - szepnęła.

Postąpił krok naprzód, chcąc wziąć ją w ramiona, dopóki nie znajdzie słów, które wszystko wyjaśnią, ale ona uskokczyła.

- Dlatego tu przyjechałeś? Dlatego wróciłeś? Żeby nas wyśmiać? Upokorzyć?

- Nie, Jesiko. To nie tak. Ja tylko... Musiałem gdzieś pisać. Skoncentrować się i...

- Pisać co? O nas?

- Nie. To... to powieść. Tylko...

- No, to po co te notatki?

- Byłem... zablokowany. Nie mogłem...

- Więc postanowiłeś nas wykorzystać, żeby popędzić swoją muzę. Nas, ludzi, którzy ci pomogli. Twoich przyjaciół. Twoją rodzinę.



- Posłuchaj, Jessie. - Kręciło mu się w głowie, a serce waliło jak szalone. - Może i tak właśnie się zaczęło. Ale to było zanim zrozumiałem, jaka jesteś cudowna. Zanim się w tobie...

- Wynoś się - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Dostrzegł ból w jej oczach. Kazałaby go wyrzucić. I w całym miasteczku nie było ani jednej osoby, która by jej nie poparta.

## ***ROZDZIAŁ CZTERNASTY***

- Rzeczywiście ci się udało. - Tom Malberg nigdy nie był szczególnie wymowny. - Nie boję się wyznać ci... - upił jeszcze łyk martini - ...że uznałem, iż jesteś skończony.

Daniel rozejrzał się z roztargnieniem po eleganckiej restauracji, po czym znowu spojrzał na Toma.

- Doceniam twoją wiarę we mnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wzruszył ramionami.

- No, to gdzie właściwie byłeś? Illinois?

- Iowa. Oakes - poprawił Daniel. Tom lekceważąco machnął ręką.

- W każdym razie jakaś dziura. Tak czy inaczej, cuda się zdarzają. Egzemplarze próbne schodzą właśnie z prasy i są w drodze do wybranych czytelników. Witaj z powrotem w branży, Danielu, i z powrotem w cywilizacji.

- Tak.

Na dworze panował jesienny chłód. Zatrąbił klakson, a po nim kilka innych. Ale gdzieś, w jakimś ukrytym kąciku jego umysłu, kumkały żaby nad srebrzystą rzeką.

- Czas rozkręcić promocję. Marketing planuje już reklamy, ale najważniejszy jest objazd. Los Angeles, Seattle, Chicago... - ciągnął Tom. - Masz jakieś propozycje? Gdzie chciałbyś pojechać najpierw?

Świat zniknął. Znowu pojawiły się wspomnienia. Zapach świeżych pól, odgłosy natury, dłoń Jessie w jego dłoni.

- Tak. - Słowo to wyrwało mu się mimo woli. - Tak, mam.

- Odsunął krzesło i ruszył w stronę drzwi.

Jesika skreśliła z Morwowej w Jesionową. Było już późno, a ona była wykończona. Wczoraj do północy leczyła ropień w kopycie i ledwo zdążyła umyć zęby, zanim padła. A jeszcze przed świtem zadzwonił telefon. Żrebak babci rozkwitał, tak samo jak sama babcia. Planowała skromny ślub za miesiąc.

Przyzwyczaiła się do nieobecności MacCormicka. Przecież nigdy nie spodziewała się, że on zostanie. Próbowala nawet ostrzec mieszkańców Oakes przed jego zapowiadaną książką, starając się ująć wszystko jak najdelikatniej.

- Może nie być bardzo pochlebna - mówiła.

Była po prostu zmęczona... Dlaczego tłum ludzi depta kwiaty na jej trawniku? Zaparkowała przy chodniku. Tłum ruszył w jej stronę. Prowadził Komar.

- Jess! Jestem tu!

- Gdzie? - Wyskoczyła ze swojej półciężarówki, a wszyscy stłoczyli się wokół niej.

- W książce. Nazwał mnie Skeeter, ale ja wiem, że to ja. Jestem doktorem, który wszystkimi się opiekuje.

- Ja jestem Mavis. - Millie Conrad precyzyjnie się do niej. - Jestem rumiana, dobra i przypominam wróżkę ze „Śpiącej Królowny”.

- A ja Bea - odezwała się Betty, tuląc do piersi szczeniaka. - Ręce powykrzywiane reumatyzmem, ale serce ze złota.

- To takie... piękne - zaczęła Nettie, ale przerwało jej kilkanaście innych głosów.

- ... najbardziej mi się podobało, jak...

- Płakałam cały...

- Ty też tu jesteś.

Cecil przepchał się przez tłum z książką w dłoni. Pozostali pokiwali głowami.

- C-co? - wykrztusiła.

- W książce. Ma tytuł „Cuda” - wyjaśnił Cecil, pokazując jej tom w miękkiej oprawie.

Pokręciła głową.

- O czym wy wszyscy...

- O książce Danny'ego! - wykrzyknął Komar. - Dostaliśmy ją dzisiaj pocztą i... - Podniósł wzrok. - To on! - wykrzyknął.

Jessie podażyła wzrokiem za spojrzeniem Komara i poczuła, że zaczyna jej brakować tchu. Stał tam. Daniel MacCormick. Nie był to sen. To on z krwi i kości.

Nie mogła znaleźć słów, nawet jednego, a oczy ją rozbolały. Był za chudy. I wyglądał na zmęczonego. Pragnęła przytulić go, nakarmić i położyć do łóżka.

- No to... - W tej chwili tylko tyle udało jej się wymyślić.

- Napisałeś swoją książkę.

Nie odpowiedział, patrzył tylko na nią.

W jej głowie tkwiła tylko jedna myśl, że bardzo za nim tęskniła. Nawet wiedząc, że jego miejsce jest w Nowym Jorku, i że między nimi nigdy by się nie ułożyło, tęskniła za nim potwornie.

- Ja... bardzo się cieszę. Zdaje się, że jest znakomita. Gratulacje - dodała, gorączkowo szukając kolejnych słów.

- Przysłałem ci egzemplarz. Przeczytałaś?

- Ja... nie... nie wiedziałam. Nie miałam okazji...

- Jesteś Madeline - mruknął Komar, jakby każde głośniejsze wypowiedziane słowo mogło rozwiać jakieś delikatne zaklęcie.

- Anioł - wyszeptała Millie Conrad.

Betty Weaver mocniej przytuliła swojego pieska.

- Ratujesz jego duszę.  
- Rezygnując z nieśmiertelności - dodała babcia.  
- I wychodząc...  
- ...za niego - dokończył Cecil, wskazując bratanka.  
- Och! - Jej wzrok zatrzymał się na MacCormicku.  
- Uratuj mnie - powiedział tak cicho, że ledwo go dosłyszała.  
- Ale ja... - Nie mogła oddychać, nie odważała się mieć nadziei. - Ja nie jestem aniołem.

- Dla mnie jesteś.

Bardzo chciało jej się płakać, ale nauczyła się być realistką i nie zamierzała teraz z tego rezygnować.

- Nie wyjadę stąd, MacCormick.  
- Nie proszę cię o to.  
- Ale twoje miejsce jest w Nowym Jorku.  
- Kocham cię, Sorenson - powiedział. - Wyjdź za mnie. To sen. Tylko sen.

- Wyjdź za mnie - powtórzył.  
- Musisz - szepnęła pani Conrad. - Pomyśl o dzieciach.  
- O dzieciach? - wykrztusiła.  
- Trzy małe dziewczynki.  
- Z ustami jak malinki i oczami jak kwiaty powoju.  
- Trzy małe aniołki.  
- Mieszkające tutaj...  
- W Iowa.  
- Ale... - Odwróciła się do Danny'ego. - Ale...  
- Nigdy nie będę ciebie wart - mruknął. - Ale jeśli mi na to pozwolisz, przez resztę życia będę próbował.

Musiała być silna. Musiała się oprzeć. Ale w jego oczach dostrzegła szczerą obietnicę wieczności.

- Tak - szepnęła, a w jej głowie uśmiechnęła się panna Fritz. „Najwyższy czas” - oznajmiła.

I pocałowali się, a mieszkańcy miasteczka bili im brawo.



RS